



elina  
hirvonen

przypomnij sobie

SERIA Z MIOTŁA

elina  
hirvonen

przypomnij sobie

przełożyła Iwona Kosmowska



## **Do końca I**

*Do końca żałowałam, że był dzieckiem  
Powinien być chmurą.  
Taką, za którą chowają się ptaki,  
kiedy czują strach.*

**Miltos Sachtouris**

# 1

*Dlaczego jestem szczęśliwy Jestem szczęśliwy bo mam Maszynę Parową (która działa).*

*Jestem szczęśliwy bo mam Tatę Mamę Siostrę Babcię i dostałem na Boże Narodzenie Nartosanki.*

*Jestem szczęśliwy bo należę do koła naukowców, a jak dorosnę, dostanę nagrodę Nobla.*

*Jestem szczęśliwy bo mogę przeżyć całe swoje życie w wolnym i niepodległym państwie fińskim i dlatego że Bóg na Niebiosach otacza mnie miłością i opieką*

*Jonasz louhiniitty*

*III A*

## 2

Wytrzymam ten dzień.

Oto zapach rozgrzanej w słońcu psiej kupy i wilgotnej ziemi. Zgarbiona kobieta w śniegowcach z lat osiemdziesiątych i dziecko ubrane w ocieplane spodnie, które wysuwa język ku wąsom po lodach okalającym usta. Oto długie przedpołudnie, kiedy nie trzeba spoglądać na zegarek.

Oto kawiarnia, w której można kupić tradycyjną kawę i murzynka z grubą warstwą kawowej polewy i gdzie przesiadując za dnia, odnosi się wrażenie, że dostąpiło się wtajemniczenia. Oto dzwonią tramwaje i uczniowie człapią noga za nogą, i siwowłose kobiety, które, podtrzymując się nawzajem, przechodzą przez jezdnię. Oto książka, którą dostałam od Iana. Oto Ian, który mnie kocha.

Oto książka.

Świat, do którego mogę wkroczyć. Trzy kobiety w ciągu jednego dnia w różnym czasie. Pisarka Virginia Woolf, która napełniła kieszenie kamieniami i weszła do wody.

*Byłeś na mej drodze wszystkim tym, kim człowiek w ogóle mógłby być. Niewydaje mi się, żeby mogło być dwoje ludzi bardziej szczęśliwych, zanim przyszła ta okropna choroba. Niepotrafię już dłużej z nią walczyć, wiem, że rujnowałam Ci życie, że beze mnie mógłbyś pracować.*

[Zamieszczone w powieści cytaty pochodzą z książki Michaela Cunninghama

*Godziny*, w przekładzie Mai Chorkiewicz i Beaty Gontor, Poznań 2003. Błędy w pisowni są zamierzone.]

Przeczytałam list samobójczy Virginii wiele razy, ale wciąż do niego powracam. Jak wyglądały jej kamienie? O czym myślała, pogrążając się pod wodą? Czy zanim straciła przytomność, zdążyła pożałować tego, co zrobiła?

### 3

Po raz pierwszy zobaczyłam Iana trzy lata temu w sali wykładowej. Został zaproszony z nowojorskiego Uniwersytetu Columbia, by gościnnie poprowadzić w zakładzie literatury seminarium poświęcone Virginii Woolf. Ian miał czterdzieści lat, ale wyglądał na starszego. Był ubrany w brązowe sztruksy i pomarańczowożółty bezrękawnik, a na nogach miał sandały ortopedyczne o guzkowatych podeszwach, takie same, jakie mama nosiła wtedy, gdy byliśmy dziećmi. Stał, chudy i nieco zgarbiony, w jednej ręce trzymał szklanekę z wodą, a w drugiej plik papierów i rozglądał się po sali, jakby szukał odpowiedniego miejsca, gdzie mógłby je położyć.

Dziewczyny ubrane w długie spódnice i chłopcy z cienkimi włosami związanymi w kitki dyskutowali głośno na temat literatury (no więc, ten Orlando jakoś mi objawił moją seksualność) i o imprezie z poprzedniego dnia (obudziłam się obok jakiegoś pojebanego studenta polibudy i czułam się tak, że sorry), a Ian powtarzał raz za razem:

– *Excuse me, excuse me, please* – próbując uciszyć salę. Wreszcie postawił szklanekę i położył papiery na stole, tupnął sandałem i krzyknął na cały głos: – *Shut the fuck up!*

Gdy zaczął mówić, ucichliśmy, Ian przysiadł na stole, przesunął na bok papiery i upił łyk wody. Miał intensywne spojrzenie, a głos głęboki i niski, jakby pod jego słowami

ktoś cichutko sobie nucił.

Najpierw wyjaśnił, dlaczego swego czasu zajął się literaturoznawstwem.

– Jestem przekonany, że zapamiętywanie to coś ważnego. Tylko pamiętając, możemy zrozumieć cokolwiek z tego, co wiemy o sobie. Ale tak się złożyło, że ja mam przerażająco kiepską pamięć. Chciałem to nadrobić, okradając innych.

Ian spojrział w bok, napił się wody i zaczął mówić o olśniewająco błyskotliwej pisarce z początku minionego stulecia, która pragnęła odczuwać nawet najmniejsze poruszenia umysłu, zanurkować w wewnętrzny świat człowieka w sposób całkowicie nowy w historii literatury.

Jego słowa sprawiły, że poczułam w gardle dławiącą kulę. Chciałam podnieść rękę i powiedzieć, że w pamiętaniu nie ma nic dobrego. Pamięć to jedna z przeciwności losu, wobec których jesteśmy bezsilni. Chciałam wstać, zatrzymać długopisy robiące notatki i skwapliwe potakiwanie, krzyknąć, że ja nie pragnę niczego więcej oprócz tego, co uwolniłoby mnie od pamiętania.

Ian poczerwieniał, a jego dłonie rysowały okręgi w powietrzu. Miał chude ręce, na nadgarstkach rosły mu czarne włoski. Zapragnęłam poczuć, jakie są w dotyku.



## 4

Zanim udaje mi się doczytać list Virginii, dzwoni telefon.

– Gdzie jesteś? – W głosie matki pobrzmiwa ta sama co zawsze podejrzliwość.

– Spisuję wywiad – kłamię. – O co chodzi?

– Tylko się nie denerwuj. Byłabyś tak miła i poszła dziś do Jonasza?

– Przecież mówiłam, że sama chcę decydować, kiedy pójdę.

– Mówiłaś. Ale to dla niego ważne, żebyś poszła teraz. On cię potrzebuje. Żeby wydobrzyć.

Spieprzaj! To mam ochotę powiedzieć. Spieprzaj i daj mi wreszcie żyć moim własnym życiem. Ale tak się nie mówi do matki. Nie wtedy, gdy jest się już dorosłym i mieszka we własnym domu. Nie do matki, która musi się zajmować Jonaszem, olbrzymim, wyrosniętym dzieckiem. Nie do matki, która przez całe swoje życie nie miała drzwi, które mogłaby zamknąć przed innymi.

– Jonasz nie wydobrzej.

– Mógłby być mniej nieszczęśliwy. On mówi, że już się o niego nie troszczysz.

– O Jezu!

– Bez przerwy o ciebie pyta. Co mam na to powiedzieć?

– Nic nie musisz mówić. Pójdę do niego, jak się z tym

uporam.

*On mówi, że już się o niego nie troszczysz.*

Jak on śmie tak mówić? Jak śmie używać takich słów? Troszczyć się. Troska jest obłudna i obrzydliwa. „Troszczyć się” to słowo zatrute przez dziecięce piosenki i socjaldemokratów. Że niby wszyscy dbamy o wszystkich i wszystkim nam jest tak fajnie.

Nie, doprawdy nie troszczę się o Jonasza. Moje uczucia wobec niego to coś całkowicie odmiennego. Nie ma w nich miejsca na nic, co jest ciepłe albo przyjemne. Czuję do niego więcej niż do jakiegokolwiek innego człowieka na całym świecie. Pragnę, aby Jonasz po prostu zniknął i żebym nigdy więcej nie musiała niczego o nim pamiętać.

Kiedy się urodziłam, świat był już pełen Jonasza. Jonasz miał złociste włosy, dźwięczny głos i samochód wyścigowy z naklejkami, którym ciągle wjeżdżał w żółtą ścianę dziecięcego pokoju. Któregoś dnia farba odprysła w dziwny kształt i ojciec zamknął samochód na klucz w komórce na strychu.

Jonasz grywał smutne piosenki na brązowym plastikowym flecie i godzinami przesiadywał z książką obrazkową na kolanach, nie przewracając ani strony, w milczeniu. Marzył o tym, by wrzucić mnie do starego żelaznego garnka babci, razem z marchwią, kawałkami brukwi i łodygami selera, i wymieszać moje różowe

niemowlęce ciałko z gorącą zupą. W złe dni zakradał się do mojego białego łóżeczka i obiema rękami wyrywał mi puszyste włoski z głowy. W dobre dni nakładał w naszym pokoju kołdrę na stolik i wczołgiwaliśmy się tam, żeby się pobawić. Mieliśmy ze sobą latarkę i zgniecionego banana i bawiliśmy się w Jonasa w brzuchu wieloryba. Brał mnie w objęcia i kołysał. Wyobrażałam sobie, że poza kołdrą jest wzburzone morze, na którego falach nasz wieloryb będzie bez końca kołysał się w górę i w dół.

Złote włosy Jonasa i dźwięk szklanego zegara to pierwsze rzeczy na świecie, które pamiętam. Przez długi czas byłam pewna, że Jonasz jest całym światem.

Na moim talerzyku jest połowa murzynka i okrągły ślad po filiżance z kawą. Mężczyzna przy sąsiednim stoliku wpatruje się w pustkę, za oknem dzwoni tramwaj. Zamykam książkę i gładzę szorstką okładkę. Mam ochotę poprosić bohaterów powieści o wybaczenie.

## 5

Gdy ja miałam pięć lat, a Jonasz siedem, ojciec wjechał na podwórze starym karawanem pogrzebowym.

Byliśmy z mamą na podwórku. Jonasz siedział sam na jednej huśtawce, a na drugiej siedziała mama ze mną na rękach. Gdy usłyszeliśmy klakson, pobiegliśmy wszyscy troje zobaczyć, co się dzieje. Samochód był duży i czarny. Miał zgnieciony błotnik, a na brudnej tylnej szybie ktoś narysował ogromny penis. Miałam nadzieję, że mama i tata tego nie zauważą. Próbowałam sprawiać wrażenie, jakbym niczego nie dostrzegła.

Tata głaskał kierownicę. Gdy otworzył szybę, z głośników wylały się dźwięki *Roadrunner*. Miał włosy zmierzwione z tyłu głowy i górne guziki koszuli odpięte, tak że widać było poskręcane złociste włosy na torsie. Bębnił o kierownicę w rytm muzyki i uśmiechał się szeroko. Dłoń mamy trzymała moją rękę w silnym, kurczowym uścisku.

– Henri – odezwała się mama. Zabrzmiało to tak, jakby z trudem panowała nad głosem. Tata przymknął oczy i podniósł do ust palec wskazujący.

– Daj spokój.

– Umawialiśmy się.

Tata podkręcił muzykę głośniejsz i wysiadł z samochodu. Pachniał tak, jakby przyjechał znad morza. Podszedł do nas, uniósł mnie i Jonasza do góry. Poczulałam

skurcz żołądka.

– Przejedźmy się gdzieś – powiedział. – Na wiosenną wycieczkę.

Przysunął mamę do siebie, a ja wcisnęłam się pomiędzy ich dwoje. Tata pachniał potem i fajką, a mama trawą i różowym kremem do twarzy. Ich zapachy mieszały się i przeniknęły mnie tak mocno, że poczułam zawrót głowy.

– A jeździli nim zmarli? – zapytał Jonasz. Tata przytaknął.

– Ale się ucieszą, jak zobaczą na tylnym siedzeniu uśmiechniętego chłopca.

Mama nie odezwała się ani słowem. Odwróciła się i odeszła, a ja krzyknęłam, bo przemknęło mi przez myśl, że może już nie wróci. Ale kiedy po jakimś czasie przyszła z powrotem, miała na głowie chustę w kwiaty z Marimekko, a na ramieniu koszyk, który kupiła na rynku. W koszyku była butelka soku, paczka ciastek i kanapki zawinięte w papier śniadaniowy. Wsiedliśmy do samochodu wszyscy czworo, mama z przodu obok taty, ja i Jonasz z tyłu. Skórzane fotele były gorące od słońca; gdy siadaliśmy, uda nam się do nich przyklejały.

– Może tu są duchy zmarłych – szepnął Jonasz.

Pomyślałam o pomarszczonych babciach i dziadkach, którzy siedzą koło nas, kiwają skurczonymi główkami i wyglądają, czy na drodze nie widać także innych zmarłych. Słońce świeciło do środka przez wszystkie okna, a gdy Jonasz odpowiednio się usadowił, członek na tylnej

szybie wyrastał mu z głowy jak rogal. Mama położyła dłoń na nodze ojca i widziałam w lusterku, że oboje leciutko się uśmiechają. Obróciłam się na kolanach przodem do oparcia, pomachałam do brodatego mężczyzny, który jechał za nami, i śmiałam się, gdy fotel naciskał rytmicznie mój brzuch.

„Jesteśmy szczęśliwą rodziną” – pomyślałam. Odniosłam wrażenie, że to zdanie sfrunęło do mnie ze stron jakiejś książki. Wyobraziłam sobie, że jestem dziewczynką z książki dla dzieci, mam czerwone policzki i warkoczyki, podróżuję ku wielkiej i ekscytującej przygodzie, dla której ktoś zdażył już napisać szczęśliwe zakończenie.

Tata jechał szybko. Przednie szyby były otwarte, wiatr o zapachu ziemi zwiewał włosy na oczy. Mama przytrzymała chustkę za rogi. Tata, bucząc klaksonem, wyprzedził jadącego przed nami volkswagena. Kierowca uniósł środkowy palec, a Jonasz odpowiedział mu, robiąc z kciuka i palca wskazującego kółko i machając w nim kciukiem drugiej dłoni. Ja zatkałam uszy i parskalam.

– Henri – odezwała się cicho mama, gdy tata wyprzedził marchewkową ładę i dwa kolejne samochody. Widziałam, że przyciska nogę taty tak mocno, że palce jej pobielały. Tata przykrył ręką dłoń mamy i zaśmiał się.

– Czyż nie jest fantastycznie, dzieciaki?! – krzyknął przez ramię. Wymruczeliśmy coś niewyraźnie, bo nie chcieliśmy zdenerwować żadnego z nich.

– *Vad i heluete menar du?* – zapytała mama, gdy tata

wyprzedził jeszcze rozpędzony samochód sportowy z otwartymi szybami i motocyklistę ubranego w skóry. Mama zawsze mówiła po szwedzku, kiedy nie chciała, żebyśmy ją rozumieli. Poczułam skurcz w brzuchu, na ramionach miałam gęsią skórę, choć był upał. Próbowałam wziąć Jonasza za rękę, ale on trzymał dłonie zaciśnięte w pięści i wpatrywał się w kark taty z twarzą bez wyrazu, jak u lalki.

– Cieszę się z życia! – Tata krzyczał tak głośno, jakby mama była gdzieś daleko. – Ty też byś mogła. Przynajmniej od czasu do czasu.

A potem krzyknął:

– Cholera jasna! Brzęknęła szyba. Mama krzyknęła.

Coś trzasnęło. Tak jakby ktoś złamał kark małego ptaka.

Leżałam na podłodze i słuchałam dudniącego samochodu. Wycieraczka pachniała jak zmokły pies. Czułam na karku ciepły oddech Jonasza. Zamknęłam oczy i czekałam, aż ktoś nadejdzie, żeby nas stamtąd wyciągnąć.

Karetka odwiozła mamę do szpitala. Tata powiedział, że to nic poważnego. Przód jego koszuli był zachlapany krwią z nosa mamy. Na górze, tam, gdzie koszula była rozpięta, krew zabarwiła włosy w brunatne kępki.

Kiedy pielęgniarze prowadzili mamę do karetki, tata milczał. Siedziałam na skraju chodnika i trzymałam obie ręce na kolanach. Ja też nic nie mówiłam. A może krzyczałam. Nie jestem pewna.

– Mama była po prostu w szoku – tłumaczył tata. – Jak

wróci, wszystko będzie tak jak dawniej. Na pewno będzie śmiesznie wyglądać z obandażowanym nosem. Ale poza tym wszystko jest w porządku. Tak jak dawniej.

Siedzieliśmy przy kuchennym stole, a tata robił gorące kanapki na elektrycznym grillu. Jonasz siedział na krześle na piętach, trzymał ręce pod kolanami i wpatrywał się w ścianę. Przez cały wieczór nie odezwał się ani słowem. Tata położył przed nami parujące kromki z szynką, ananasem i roztopionym serem. Kiedy Jonasz wziął nóż, by odkroić kawałek, tata złapał go szybko za rękę.

– Pomódlmy się – powiedział. – Podziękujmy Panu za to, że był dzisiaj z nami.

Krzesło stuknęło, kiedy Jonasz wyrwał rękę z uścisku i wstał od stołu. Policzki mu płonęły, patrzył na tatę tak, jakby go nie widział.

– A jeśli to nie był Bóg? – zapytał głosem dorosłego człowieka. – A jeśli to był szatan, który wszedł w ciebie i prowadził samochód jak szalenciec?

– Co? – spytał tata. Na szyi pojawiły mu się czerwone cętki. – O czym ty mówisz?

W radiu rozległ się sygnał czasu. Ze ściany oderwał się kawałek farby w kształcie profilu człowieka. Przełknęłam kęs gorącego sera, łzy napłynęły mi do oczu. Trzymałam oburącz szklanę i piłam. Mleko spływało mi zimnym strumieniem do ust i żołądka. Tak jakby wypłukiwało mnie od środka. Wypłukiwało doszczętnie.



## 6

Ojciec Iana popadł w obłąd na wojnie w Wietnamie.

Minął niespełna rok od wykładu o Virginii Woolf. Siedzieliśmy w barku w pobliżu uniwersytetu. Oprócz kufli z piwem leżały przed nami długopisy, notatniki i pobazgrane kartki papieru, Ian garbił się jeszcze bardziej niż kiedyś.

Po cyklu wykładów wrócił do Nowego Jorku i przez rok mieszkał w maleńkiej kawalerce z gołębiami sypiającymi pod jego oknem. Co rano wypijał filizankę espresso bez cukru, biegł truchtem na uczelnię i opowiadał studentom o teoriach literatury i twórczym pisaniu. Wieczorem przynosił sobie jedzenie z indyjskiej knajpki, włączał laptop i pisał doktorat. Za oknami kawalerki zapalały się światła Manhattanu, ale Ian siedział w swoim wełnianym bezrękawniku przy biurku odziedziczonym po babci i rozważał, w którym momencie w literaturze Zachodu zaczęło się pojawiać pojęcie człowieka jako jednostki jedynej w swoim rodzaju.

Jesienią się przeziębił. Przez parę dni został w domu i od rana do wieczora siedział nad doktoratem, w kapciach i w zakurzonej kocu na ramionach.

Trzeciego dnia choroby odezwał się telefon. Dzwoniła wykładowczyni historii z jego uniwersytetu.

– Jak się czujesz? – zapytała, Ian był pewien, że ma na myśli przeziębienie.

Kiedy dotarło do niego, o co chodzi, nie mógł wykrztusić ani słowa. Zaparzył dzbanek kawy, opatulił się kocem i włączył telewizor. Na ekranie pokazywano wciąż na nowo, jak samolot uderza w wieżowiec i solidny budynek rozpada się w gruz i w pył. W którymś momencie na dole ekranu pojawił się napis: *America at War*.

– Przez cały czas czułem, że powinienem coś zrobić. Zastanawiałem się nad wykładami na temat stosunków między Stanami Zjednoczonymi a Bliskim Wschodem, nad wolontariatem w służbach ratunkowych albo artykułem o historii Afganistanu. Ale potrafiłem tylko oglądać telewizję. Potem zadzwonili z waszego uniwersytetu i zapytali, czy nie chciałbym przyjechać na wymianę naukową. Natychmiast się spakowałem.

Ian popatrzył na podchmielonych chłopców z kitkami, którzy chwilę wcześniej wypytywali go, dlaczego jego ojczyzna zamierza zrównać z ziemią jedno z najbiedniejszych państw na świecie. Popatrzył na mnie i moją przyjaciółkę; siedziałyśmy bez słowa naprzeciwko niego z naszymi notatnikami.

To były pierwsze warsztaty literackie z Ianem. Przyszłam na nie z przyjaciółką, bo potrzebowałyśmy czegoś nowego w naszym niekonkretnym humanistycznym życiu studenckim. Ja przyszłam, bo chciałam jeszcze raz usłyszeć głos Iana. Chciałam, by przeczytał moje wiersze o Jonaszu, cierpieniu i śmierci i znalazł w nich nowe sensy. Chciałam, żeby odnalazł coś we mnie.

Zadał nam pracę.

– Napiszcie wiersz i opowiadanie o najtrudniejszym wydarzeniu z waszego życia. Styl dowolny.

Popatrzył na mnie. Miałam nadzieję, że to zrobi. Potem opowiedział o swoim ojcu i o wojnie, na którą tamten poszedł, będąc młodszy niż którekolwiek z nas.

Tam, gdzie urodził się Ian, wszyscy chodzili do kościoła. Kobiety zakręcały włosy na duże papiloty, a mężczyźni obcinali swoje tak krótko, że skóra prześwitywała im na skroniach. Ulice miasta były proste i szerokie, miejscowi jeździli dużymi nowymi samochodami, a przybyli zza granicy Meksykanie mniejszymi i starszymi. Kiedy małoletni popełniali tu przestępstwa, ich rodzice płacili mandaty albo szli do więzienia. Domy bogatych otaczały wysokie mury, trawniki były równo przycięte, ogrody olśniewająco uporządkowane. W sklepach sprzedawano mydło i papier toaletowy w olbrzymich paczkach, a ulice były niezmiennie niepokojąco spokojne.

Ian miał się nie urodzić. Jego matka i ojciec nie mieli być razem.

Ona była najinteligentniejszą uczennicą w liceum, która publikowała w szkolnej gazecie eseje i opowiadania. On był przystojnym, ale intelektualnie przeciętnym chłopcem o pełnych ustach i biodrach kołyszących się w tańcu. Była wiosenna noc, rum wykradziony z ojcowskiej szafy, sukienka mini i jasnoniebieski

sportowy samochód.

Ponieważ ta noc nie miała się wydarzyć, rodzice Iana spakowali rzeczy i przeprowadzili się do Nowego Jorku. Matka ukryła, że jest w ciąży i dostała się na uniwersytet. Ojciec łapał się przypadkowych robót na budowach i w knajpach, czekając, aż coś się wydarzy. Nocami matka spała obok niego, ale uśmiechała się swobodnie w towarzystwie zupełnie innych osób. Takich, które za dnia czytywały książki, a po nocach prowadziły dysputy. Ojciec nie uśmiechał się nigdy. Nocą gładził wąskie plecy matki i jej nabrzmiałe piersi i marzył o tym, by wybuchła rewolucja lub wojna, która pozwoli mu pokazać, do czego naprawdę jest stworzony.

Kiedy Ian miał cztery lata, Stany Zjednoczone zaczęły wysyłać oddziały do Wietnamu. Matka nosiła szerokie indyjskie bawełniane spódnice i ozdoby z drewnianych koralii. Ojciec był taksówkarzem, a wieczorami na siłowni pompował mięśnie. Gdy matka wychodziła co rano na uczelnię, ojciec ubierał Iana zbyt ciepło i prowadził do budynku naprzeciwko, pod opiekę czarnej kobiety.

– Nie wydaje mi się, żeby w rym był jakikolwiek zamysł – powiedział Ian, gdy zapytałam, dlaczego jego ojciec chciał iść na wojnę. – Nie wydaje mi się, żeby miał pojęcie, co oznacza komunizm. Albo gdzie leży Wietnam. W tym wszystkim chodziło raczej o frustrację. Albo o ten, no, o sens życia.

Ian oparł się o krzesło i zapalił fajkę. Miał zapadnięte policzki i na wpół przymknięte oczy. Dym unosił się

niebieskimi strużkami do sufitu.

– Wojna trwała już jakiś czas, kiedy matka zabrała mnie na manifestację. To była pierwsza rzecz, jaką zapamiętałem dokładnie.

Nigdy wcześniej nie widział tylu ludzi zebranych w jednym miejscu. Kołysał się na plecach matki w nosidełku w słoniki i wyglądał spoza jej ramion na masę ludzką, która wylewała się na wszystkie strony jak chaotycznie huczące morze. Prawie wszyscy, również mężczyźni, mieli długie włosy. Matka Iana przewiązała czoło jedwabną chustką z frędzlami, Ian bawił się węzłem na jej karku, niechcący pociągnął matkę za włosy, a ona pacnęła go w udo. Wybuchnął płaczem. Matka tańczyła w miejscu, żeby go uspokoić, obok mężczyzna z warkoczykami grał na tamburynie, kołysząc biodrami. Ponad morzem ludzi wznosiły się potężne prześcieradła z kolorowym napisem: PEACE. Skądś dobiegały przez megafon drżące słowa, co jakiś czas ludzie wspólnie wznosili okrzyki, Ian oplótł rękami szyję matki, czuł w piersi poruszenia jej pleców i ich ciepło. Bolał go brzuch. Z jakiegoś powodu wydawało mu się, że matka może w każdej chwili zdjąć nosidełko z nim w środku i uciec.

Kiedy ojciec powrócił z wojny, Ian nie chodził już do czarnej kobiety z sąsiedniego budynku. W ciągu dnia był w szkole, popołudniami czytał książki w domu. Miał okulary z grubymi szklami i rachityczne ciało, a pierwszego dnia szkoły szóstoklasiści wypłukali mu

głowę w muszli klozetowej, Ian nigdy nie powiedział o tym matce. Ani o tym, że na przerwie chłopcy z równoległej klasy zamknęli go w toalecie, zdjęli buty i przez otwory w drzwiach sikali mu na nagie stopy, Ian się spóźnił i musiał za karę zostać po lekcjach. W domu matka potarła mu czuprynę i spytała, czy coś jest nie tak. Powiedział, że nie, wierząc, że to prawda.

Matka kupowała na uniwersytecie i w antykwariacie stare książki, a Ian pożerał każdą z nich. Uważał, że dopóki będzie mógł co wieczór zanurzać się w kolejnych opowieściach, w jego własnym życiu będzie mogło się dzieć cokolwiek, a on to na pewno wytrzyma. Wytrzyma poranny ból brzucha i drogę do szkoły, podczas której ktoś może się za nim skradać i rzucać mu w plecy kamieniami. Przerwy, podczas których nikt z nim nie rozmawiał. Szkolne korytarze i ciemne kąty, skąd w każdej chwili mogła wyrosnąć ręka, która pchnie jego głowę prosto na wieszak. To, że jego plecak i okulary regularnie znikają i pojawiają się potem a to podziurawione, a to śmierdzące moczem albo pomazane czarnym markerem.

Ian był pewien, że dopóki podczas lektury będzie mu się zdarzało zapominać, że jest małym chłopcem, który musi wstać rano do szkoły, zniesie wszystko. Ciche wieczory i noce, podczas których nie mógł zasnąć albo kiedy matka wracała do domu dopiero nad ranem, chichocząca i pachnąca czymś słodkim. Był pewien, że z pomocą książek zniesie wszystko, co kiedykolwiek może mu się przydarzyć.

Potem nadszedł dzień, kiedy po powrocie ze szkoły zobaczył przy kuchennym stole obcego mężczyznę, siedzącego naprzeciwko matki. Rozmawiali półgłosem i chwilami brali się nieśmiało za ręce. Mężczyzna był zgarbiony. Miał siwe włosy, brązowe zęby i białka oczu poznaczone żyłkami. Kiedy Ian położył plecak przy drzwiach, przerwali rozmowę.

– Kochanie – odezwała się matka zbyt głośno. – Chodź przywitać się z ojcem.

Mężczyzna nie wyciągnął ręki. Dłoń Iana zawisała przez chwilę niepewnie w powietrzu, a potem opadła na ramię mężczyzny.

– Cześć.

Mężczyzna drgnął. Jego wargi poruszały się równocześnie z wargami Iana. Matka wzięła Iana za rękę.

– Twój tata miał ciężki czas. – Mówiła tak, jakby zwracała się do małego dziecka. – Może zachowywać się trochę inaczej niż kiedyś.

Ian skinął głową. Nalał sobie mleka i przez chwilę siedział z matką i ojcem przy stole.

– Pójdę poczytać – powiedział w końcu. – Będziecie mogli spokojnie porozmawiać.

Przewracał kartki. Widział litery, słowa i zdania, ale nie udało mu się wejść do książkowego świata. Czytał dalej, śledził fabułę i myśli bohaterów. Ale przez cały czas wiedział, że jest małym chłopcem, z którym nikt w szkole nie rozmawia. Wiedział, że za ścianą siedzi dziwnie zmieniona matka i mężczyzna, który nie pamięta, że jest

jego ojcem.

Spojrzał w okno. Ludzie idący z parasolami, latarnie świecące na różowo i błyszczące żółto taksówki. Miał ochotę otworzyć okno, stanąć na parapecie, odepchnąć się od ram i skoczyć.

Do wieczora siedział przy oknie i przewracał stronicę książki. W kuchni mieszały się niski głos ojca i wysoki matki. Kiedy światło lampy ulicznej stało się mgliście białe, a niebo przejmująco czarne, matka stanęła za Ianem i położyła mu dłonie na ramionach.

– Przygotowałam dla ojca twoje łóżko. Ty możesz spać przez jakiś czas koło mnie. Prawda, że możesz?

Obiecałam Ianowi, że następnym razem napiszę o moim ojcu. Tyle że nie wiedziałam, co mu się stało. Nadal nie wiem, co to było.



## 7

Byliśmy w kuchni, piłam mleko. Tata siedział przy stole z otwartymi ustami, a obok stał rozczochrany Jonasz.

– Coś ty powiedział? – spytał tata. – Co ty, do cholery, przed chwilą powiedziałeś?

– A jeśli to był szatan? – powtórzył Jonasz. – Szatan, szatan, szatan, szatan. Szatan przyszedł z piekła i wlaźł w ciebie.

Zobaczyłam na dnie szklanki postać z rogami. Przełknęłam, chociaż nie miałam już nic w ustach. Tata wstał. Jonasz sięgał mu ledwo do piersi. Patrzyli sobie w oczy. Wstrzymałam oddech.

– Chodź tutaj – powiedział tata.

Jonasz ani drgnął. Tata zrobił krok naprzód. Zaskrzypiała podłoga. Jonasz patrzył na niego bez zmrużenia powiek. Tata chwycił go za włosy. Uszy Jonasza poczerwieniały, ale wciąż jeszcze milczał. Bolały mnie płuca.

– Nigdy więcej tak do mnie nie mów. Dotarło?

– Mogłeś zabić mamę – powiedział Jonasz. – Albo nas wszystkich.

Tata pociągnął go za włosy tak mocno, że Jonasz musiał przechylić głowę. Dmuchałam na gorącą kanapkę. Jonasz upadł na kolana. Tata położył mu rękę na karku i pchnął go twarzą do ziemi. Zamknęłam oczy.

„Boże kochany – modliłam się w myśli tak, jak

nauczył nas tata. – Nie pozwól, żeby stało się coś złego. Nie pozwól na nic złego. Nie pozwól na nic złego. Na nic złego. Boże kochany Boże kochany nie pozwól na nic złego nie pozwól na nic złego na nic złego Boże kochany nie pozwól na nic złego nic złego kochany kochany kochany Boże kochany Boże kochany nie".

Odgłos rozrywanego materiału. Ciężkie sapanie taty. Oddechu Jonasza w ogóle nie słysząc.

Nie otwierałam oczu i wzywałam Boga. Tata nauczał, że On widzi wszystko. Słyszysz, kiedy go wzywasz. Przychodzi, kiedy potrzebujesz. „Proś, a otrzymasz. Szukaj, a znajdziesz. Pukaj, a otworzą ci drzwi, tobie też je otworzą”. Tak śpiewaliśmy w szkółce niedzielnej, chociaż nie byliśmy całkiem pewni, o jakie drzwi chodzi. Zgarbiony tata grał na skrzypiącej fisharmonii, a ja widziałam siebie, jak łomoczę pięściami w ogromne żelazne wrota, do których człapał długowłose Bóg ubrany w biały szlafrok i klapiące ranne pantofle.

Znowu byłam za tymi drzwiami. „Otwórz, Boże” – krzyczałam w duchu tak głośno, że bolało mnie gardło. Pod powiekami piekły mnie łzy, krzyżowałam palce pod udami. „Boże kochany, otwórz, proszę!”

Mocne plaśnięcie. I tuż po chwili drugie, trzecie, czwarte.

Tata dyszał głośno i nierówno. Jonasz skomlał. Brzuch bolał mnie tak, jakby płonął w nim ogień. Głos Jonasza nie przypominał głosu dziecka, tylko zwierzę, które utknęło w siłkach. Otworzyłam oczy.

Jonasz leżał na podłodze zwinięty jak embrion. Miał koszulę przedartą na pół na plecach, zasłaniał twarz obiema rękami. Kręgi krzyżowe sterczały mu przez skórę jak taśma z ostrymi kolcami. „To płetwa smoka – pomyślałam. – Mój Jonasz jest dzieckiem smoka”. Chciałam, żeby także jego skóra była skórą smoka, grubą i pokrytą łuską.

Ale nie była. Plecy Jonasza pokrywała jasna i gładka skóra dziecka, porośnięta delikatnym meszkiem. Teraz widniały na niej jedna przy drugiej szerokie, rozpalone czerwone pręgi.

Tata okręcił rękę pasem. Drugą ręką opierał się o stół, włosy przykleiły mu się do skroni, na czole błyszczał pot. Spodnie bez paska zwisały mu luźno na biodrach, widać było pomarszczoną gumkę majtek i złociste włosy pod pępkiem. Jonasz przestał popiskiwać. Syczał cicho przez zęby. Chwilę trwało, zanim zrozumiałam, że powtarza: „szatan”. Tata usłyszał to równocześnie ze mną.

– Cisza, do cholery! – krzyknął. Końcówka pasa uderzyła między strzepy koszuli w gołe plecy Jonasza.

Cisza! Cisza! Cisza!

Szatan. Szatan. Szatan.

Plask! Plask! Plask!

– Tato! Przestań! Tatooo! Taaa–tooo!

To byłam ja. Zawisłam oburącz na jego nadgarstku. Smarki i łzy spływały mi po twarzy i przedostawały się na dół przez wycięcie koszulki.

Tata opuścił rękę. Owinął dłoń paskiem tak mocno, że skóra po obu stronach napięła się prawie do białości. Otarł

pot z czoła i spojrzał na mnie. Potem spojrzał na Jonasza. Jonasz przestał posykiwać. Z przęgów na plecach spływała krew.

Tata patrzył na pas i zwisające bezradnie spodnie. Spoglądał na przemian na mnie i Jonasza, jakby próbował ułożyć sobie w pamięci, kim jesteśmy i skąd się tutaj wszyscy wzięliśmy. Włożył pasek z powrotem w szlufki spodni i zmierzwił mi mimochodem włosy.

– No tak – mruknął. – No tak. No tak. Tak, tak, tak, tak.

Odwrócił się, napił wody prosto z kranu i wyszedł z kuchni. Trzasnęły drzwi wejściowe. Cykał sekundnik zegara.

Usiadłam przy Jonaszu i wzięłam jego głowę w ramiona. Pachniała potem i szamponem waniliowym, powoli przesuwałam palcami po jego włosach. Tego ranka wdrapałam się na toaletkę mamy i pomalowałam paznokcie na brązowoczerwony kolor. Wśród jasnych włosów moje paznokcie wyglądały jak błyszczące kropelki krwi, a palce jak różowe, pomarszczone robaki. Oddech Jonasza się uspokajał.

„Bądź tak dobry i zabierz to – powtarzałam Bogu i wyobrażałam sobie, że głaszczę przez skórę Jonaszowe myśli. – Zabierz to i pozwól, żeby wszystko było tak jak kiedyś. Kochany, kochany Boże. Bądź tak dobry i pozwól, żeby wszystko było tak jak kiedyś”.

Strzępy koszuli sterczały wciąż po bokach Jonasza, krople krwi na jego plecach zaschły jak strupy.

„Zrobię wszystko, co zechcesz – obiecałam Bogu. – Będę codziennie sprzątać nasz pokój. Będę pomagać mamie. Będę chodziła wcześniej spać. Oddam moją tygodniówkę dzieciom z Afryki. Jak dorosnę, zostanę zakonnicą i przeprowadzę się do Indii. Jeśli teraz to zabierzesz, nigdy więcej o nic Cię nie poproszę, tylko będę robić wszystko, co zechcesz”.

Nie wiem, jak długo siedzieliśmy tak na podłodze, milcząc, ja z głową Jonasza w ramionach. Byłam pewna, że czas się zatrzymał albo w coś przemienił. Byłam pewna, że na całym świecie coś się nieodwołalnie zmieniło.

W końcu Jonasz się podniósł. Wciąż jeszcze nic nie mówił, ale pozwolił się poprowadzić do łóżka. Jego ręka była chuda i ciepła jak w gorączce. Wypełniała mi dłoń całkowicie, nie sięgałam palcami na zewnątrz. Ściskałam ją z całej siły. Jonasz odwzajemnił delikatnie uścisk. Patrzyłam uparcie przed siebie. Nie chciałam oglądać więcej jego pleców.

Kiedy Jonasz był niemowlęciem, a ja się jeszcze nie urodziłam, mama i tata pomalowali pokój na słoneczny żółty kolor. Na styku ścian i sufitu namalowali słoneczniki, które puszczały oczko, i kupili Jonaszowi do łóżeczka żółtą frotową kołderkę.

– Dziecko potrzebuje słońca – powiedziała mama.

Tata odłożył wałek do pojemnika z farbą, podszedł do mamy i otoczył ją ramieniem. Może się pocałowali. Może się kochali właśnie wtedy, w roboczych koszulach

i z ramionami pocętkowanymi żółtą farbą. Może miałam swój początek właśnie tamtego dnia. Może po wszystkim leżeli na podłodze, mama z głową na piersi taty. Może marzyli o nadchodzących latach. Myślę, że zamknęli oczy i oboje widzieli jednocześnie te same obrazy.

Żółty pokój pływa w słońcu. Jest sobota, a w pomalowanych na żółto łóżeczkach zmieniono właśnie pościel. Pokój pachnie płynem do płukania i dziecięcym szamponem. Dwoje dzieci, dziewczynka i chłopiec, siedzą obok siebie na łóżku. Chłopiec czyta dziewczynce książkę. Na stoliku nocnym leży taca w serduszka, a na niej dwie szklanki mleka i świeże, pachnące bułeczki. Mężczyzna i kobieta, tata i mama, stoją w drzwiach, objęci. Wybierają się na wycieczkę i koszyk z prowiantem jest już gotowy. Za oknem rozkwitają listki brzozy, gdzieś trzeszczy radio. Mężczyzna i kobieta uśmiechają się do siebie. Dzieci podnoszą wzrok znad książki i uśmiechają się do nich.

– Już idziemy? – pyta chłopiec, a mężczyzna bierze go na rękę.

Kobieta zakłada dziewczynce czapkę, którą zrobiła na szydełku. Wychodzą, trzymając się za rękę, wszyscy czworo. Mama niesie na ramieniu koszyk, a tata trzyma kluczyki do samochodu. Pachnie życiem i wiosną. Wychodzą z domu i spędzają cudowny dzień. Mija szybko, ale to ich nie martwi. Mężczyzna i kobieta wiedzą, że cudownych dni będzie więcej, niż którekolwiek z nich zdołałoby zliczyć.

Ja miałam pięć lat, a Jonasz siedem. Zaprowadziłam go do naszego słonecznożółtego pokoju i zsunęłam z łóżka frotową kołdrę.

– Idź spać – powiedziałam. – Rano wszystko będzie lepiej.

Jonasz usiadł na łóżku i pozwolił zdjąć z siebie strzępy koszuli. Zwinęłam je w kłębek i upchnęłam do kosza na śmieci, pod puste trójkątne kartoniki po sokach, gumy do żucia i strzępki papieru. Kiedy Jonasz zwinął się pod kołdrą, usiadłam przy nim i pozwoliłam palcom wędrować po jego głowie, karku i ramionach.

Wreszcie Jonasz zasnął. Wdrapałam się na plastikowy dziecięcy taboret i wyłączyłam światło. W rogu łóżka czerwona nocna lampka świeciła jak oko.

Wychodziłam już z pokoju, kiedy usłyszałam za sobą szept Jonasza.

– Zabiję go – powiedział cicho i najpierw pomyślałam, że się przesłyszałam. – Któregoś dnia jeszcze zabiję tatę.

Minęła chwila, zanim dotarł do mnie ciężar słów.

Ale kiedy stanęłam na progu dziecięcego pokoju i w świetle księżycy zobaczyłam w lustrze przedpokoju swoje odbicie, już rozumiałam. To ja muszę zadbać o to, żeby cienie dnia wyblakły i żebyśmy wszyscy żyli długo i szczęśliwie.

Nadeszła noc i ciemność, ale tata nie wracał do domu. Leżałam na łóżku z otwartymi oczami i nie zasnęłam nawet wtedy, gdy z drugiej strony pokoju zaczął mnie

dobiegać miarowy oddech Jonasza. Przycisnęłam do piersi jego starego pluszowego pieska i usiłowałam wyrzucić z siebie ból.

„Zrobię cokolwiek – powtórzyłam w myślach. – Cokolwiek bądź, jeśli zabierzesz z naszego życia ten dzień”.

Obudziłam się nad ranem, bo chciało mi się siku. Zasnęłam w ubraniu, nie umyłam zębów, na ich powierzchni wyczuwałam językiem chropowaty nalot. Próbowałam przemknąć się po cichu do łazienki, żeby nie obudzić Jonasza. Drzwi do kuchni były uchylone i prześwitywała przez nie smuga przyćmionego światła. Przekradłam się do szpary w drzwiach i zobaczyłam szerokie, zgarbione plecy taty. Siedział przy stole bez koszuli, z twarzą schowaną w dłoniach. Przed nim stała szklanka i opróżniona do połowy butelka whisky.

– Tato – szepnęłam, ale chyba mnie nie usłyszał. Stałam za nim i położyłam mu ręce na ramionach. Miał lepką skórę.

Odwrócił się. Śmierdziało mu z ust. Wziął mnie za rękę; przyglądał mi się badawczo i długo. Tak jakbym była obcym, zgubionym dzieckiem, a on musiał zdecydować, co należałoby ze mną zrobić.

– Tato – szepnęłam jeszcze raz. – Tato!

Wziął mnie w ramiona. Przycisnął moją głowę do piersi tak mocno, że nie mogłam złapać oddechu. Przytulił twarz do moich włosów i zaczął powoli mnie kołysać.



To była moja kryjówka. Zawsze kiedy było mi smutno albo się bałam, tata obejmował mnie w ten sposób. Huśtałam się z głową opartą na jego piersi również poprzedniej jesieni, po moim pierwszym dniu w przedszkolu.

Jonaszowi dokuczali w zerówce i bałam się, że mnie będzie czekać to samo. Robiłam sama babki z piasku w rogu podwórka i patrzyłam, jak inne dzieci nawzajem się huśtają. Kiedy po przyjściu z podwórka do przedszkola usiedliśmy do stołu, stało się coś strasznego.

Nagle moja pupa zrobiła się ciepła i mokra, a chłopiec siedzący koło mnie zawołał na cały głos:

– O fuj! Anna zsikała się w majtki!

Przedszkolanka o palcach jak szpony zawlokła mnie za ramię do łazienki, zrzuciła na podłogę mokre rajstopy i postawiła mnie w rozkroku na brzegu umywalki. Powyżej wisiało lustro i widziałam w nim swoją bladą twarz, pulchne uda z połyskującymi kropelkami moczu, a z tyłu usta przedszkolanki zaciśnięte w kreskę.

– Nikt wcześniej nie sikał u nas w majtki oprócz niepełnosprawnych dzieci – powiedziała, ochlapując moją pupę wrzątkiem.

Ja też zacisnęłam usta w kreskę, żeby powstrzymać płacz. Liczyłam w myślach od jednego do dziesięciu, jeszcze raz, jeszcze raz i jeszcze. Wiedziałam, że jeśli tylko policzę wystarczająco dużo razy, przyjdzie tata i mnie zabierze.

Tamtego wieczoru płakałam, dygocząc, rzewnymi

łzami w jego ramionach, a tata trzymał mnie w objęciach, dopóki nie usnęłam. Tak samo było w inne dni i wieczory, gdy upadłam razem z rowerem i miałam na kolanie otwartą ranę albo wtedy, gdy dziewczynki z sąsiedztwa wykluczyły mnie z zabawy. W takie dni wślizgiwałam się w ramiona ojca i wiedziałam, że w tej kryjówce nigdy nie dosięgnie mnie nic złego.

Teraz zło zakradło się w ramiona taty i już nigdy nie będę miała kryjówki, do której można uciec.

Wstrzymałam oddech. Czułam na policzku, jak porusza się jego klatka piersiowa. Zamknęłam oczy i postanowiłam dostać się gdzieś indziej, wylecieć przez uchylone okno i wspiąć się na sklepienie jaśniejącego w oddali nocnego nieba.

Tata drżał. Jego gorące łzy spływały mi na włosy, ale mnie już nie było. Pędziłam z wiosennym wiatrem przez miasto, tylne podwórze, przedszkole i szkołę Jonasza, przez kościół, w którym tata odprawił poprzedniego dnia nabożeństwo pogrzebowe samotnej kobiety z sąsiedztwa. Leciałam ponad kioskiem z lodami nad morze i wraz z falami do miejsc, o których istnieniu nie wiedziałam.

Zobaczyłam jaskrawe plamki pod powiekami i wiedziałam, że gdzieś daleko jest mała dziewczynka, która nad ranem siedzi w ramionach płaczącego ojca i boi się tak bardzo, że chciałaby umrzeć.

## 8

– Ale dlaczego twój ojciec tak się zachował?

Był lutowy wieczór, a my chodziliśmy po lodzie. Wiatr wznosił wokół nas tumany śniegu, obwiązaliśmy sobie szczelnie twarze szalami. Za nami błyszcząły światła miasta, nad nami zamglone gwiazdy i purpurowe niebo, Ian ścisnął moją dłoń przez rękawiczkę.

Przeczytał moją nowelę. Siedziałam w milczeniu przed jego gabinetem, zasłoniłam oczy zaciśniętymi pięściami i słuchałam, jak huczy mi krew. „Spraw, żeby mu się spodobała” – powtarzałam w duchu.

Spraw, żeby mu się spodobała.

Ukłoniłam się profesorowi, który przechodził obok z okularami w ręku. Rozmawiałam o filmach z bibliotekarzem, odbywającym zastępczą służbę wojskową. Rozdrapałam spierzchnięte usta i rozlałam kawę na spódnicę.

Spraw, żeby mu się spodobała.

Spraw, żeby mu się spodobała.

Spraw, żebym mu się spodobała.

Wreszcie Ian otworzył drzwi. Trzymał w ręce plik kartek i patrzył na mnie w milczeniu tak długo, że zapragnęłam stać się niewidzialna.

– Ma pani trochę czasu? – zapytał. – Pomyślałem, że moglibyśmy chwilę porozmawiać.

Zeszliśmy schodami na dół. Ruszyliśmy zaśnieżoną

górką na rynek, na którego rogach świeciły staroświeckie latarnie. Szliśmy ulicami pokrytymi lodem, mijając kamienice, knajpki i sklepy ze słodyczami otwarte tylko w ciągu dnia. Przebyliśmy długi most; pod nim trzaskał lód, na którym połyskiwały światła pobliskiego hotelu. Ludzie na przystanku autobusowym chowali twarze przed wiatrem, mali chłopcy z zaczerwienionymi uszami przebiegali przez rynek, a na okapie starej hali targowej gołębie spały kamiennym snem.

Na lodzie Ian wziął mnie za rękę.

Szliśmy obok siebie, prawie się dotykając. Mówiliśmy niewiele i szliśmy wolniej niż przedtem. Było lodowato zimno i wiało tak mocno, że idąc, musieliśmy pochylać się naprzód. Miałam zbyt lekką kurtkę i śnieg na nadgarstkach, wewnątrz rękawiczki dłoń zaciśniętą w pięść, Ian szedł po mojej prawej stronie. Rękawy naszych kurtek stykały się ze sobą.

Moje prawe ramię było całkiem ciepłe. Nie zatrzymywaliśmy się ani nie patrzyliśmy na siebie. Milczeliśmy. Nie przypominam sobie, żebym otworzyła pięść. Ale nagle jego dłoń otoczyła moją, i tylko to wiedziałam.

– Ale dlaczego twój ojciec tak się zachował?

Głos przedostający się przez szalik był niewyraźny i cichy, Ian ścisnął moją dłoń, a ja odwzajemniłam uścisk. Staliśmy na lodzie, z dala od brzegu, śnieg skrzypiał nam pod nogami i tak wirował w podmuchach wiatru, że chwilami nic nie widzieliśmy.

Dlaczego mój tata tak się zachował? Czy powinnam to wiedzieć? Czy ktoś powinien? Czy on był wówczas moim ojcem?

Czy to ten sam tata, który robił nam gorące kanapki, budował namiot w sypialni i kołysząc mnie w ramionach, odpędzał całe zło świata? Ten sam tata, który na zdjęciu z pamiętnika niemowlaka trzyma w ramionach Jonasza, wtedy kiedy mnie jeszcze nie było? Tata, który wieczorami śpiewał przy łóżeczku „Dobrej nocy i sza” i opierał czoło o szybę okna, kiedy myślał, że już zasnęliśmy?

Nie wiem. Nie wiem właściwie nic o moim tacie.

Nigdy o sobie nie mówił. Słuchał, oczywiście, i pytał, co ja, Jonasz i mama myślimy na jakiś temat. Ale on sam nigdy nie mówił o niczym innym oprócz muzyki, samochodów i tego, komu udzielił ślubu albo wyprawił pogrzeb. Kiedy pytaliśmy, mówił o Bogu. Mówił o kochającym ojcu, który wybaczał wszystkie grzechy i chronił przed wszelkim złem.

W dzieciństwie modliłam się co wieczór, żeby mój Bóg opiekował się tatą.

Tata nie mówił o sobie, ale babcia opowiadała czasami skrawki historii o swoim synu. Siedziała w swojej maleńkiej kuchni na czerwonym taborecie, obierała ziemniaki i wspominała czasy, kiedy tata był małym chłopcem, a ona sama milczącą kobietą, która wyglądała na starszą, niż była w rzeczywistości.

Siadywałam na taborecie w nogach babci i obierałam

marchew. Robiłyśmy zupę mięsną. Zimą gotowałyśmy zupę mięsną, a latem rybną, do której kupowałyśmy ryby na rynku u brodatego rybaka. Kiedy odchodziłyśmy, mężczyzna puszczał oczko do babci. Miałam nadzieję, że się pobiorą. Chciałam, żeby babcia mogła przejść przez nawę kościoła z rybakiem u boku, ubrana w białą suknię i z koroną z gałązek jarzębiny. Ja stałabym przy ołtarzu, trzymając obrączkę, którą okalałyby błyszczące diamenty, a na środku migotałby ciemnobłękitny kamień.

– Nie wymyślaj – fuknęła babcia, kiedy jej opowiedziałam o swoim marzeniu. – Zawsze byłam kobietą jednego mężczyzny.

– I mówisz, że byłaś z dziadkiem szczęśliwa? Nie odpowiedziała.

Może i była, zanim urodził się tata. Zanim zaczęła się wojna. Może była szczęśliwa wtedy, kiedy dziadek nad ranem przyszedł, zapukał w jej szybę i zabrał ją łódką na zamglone jezioro. Może w jakiś smutny sposób była szczęśliwa nawet wtedy, gdy na początku wojny odprowadzała go na dworzec kolejowy. Wzięli właśnie ślub i dziadek obiecał, że zawsze będzie ją kochać. Babcia kurczowo trzymała obiema rękami jego kołnierz, a z komina lokomotywy unosiły się kłęby dymu.

Kiedy skończyła się wojna, babcia poszła z kwiatami na rynek, i wiedziała, że strach minął, a mężczyźni wrócą do domów. Zanurzyła twarz w kwiatkach i pomyślała o włosach męża.

Z frontu powrócił zmęczony, prawie obcy mężczyzna.

Siadywał pochylony przy długim stole i upijał się w milczeniu.

Przez wiele wieczorów spadał z ławy na podłogę, a babcia targała go, przytrzymując pod ramię, do łóżka. Czasami przyciągał babcię do siebie i dysząc jej w szyję oparami wódki, zimnymi rękoma podciągał do góry spódnice. Kiedy od zakończenia wojny minął rok, babcia urodziła na deskach sauny pomarszczonego chłopca.

– Twój tata był taki miły – mówiła, a oczy jej wilgotniały. – Był taki miły i we wszystkim pomagał, już jako mały chłopiec przybiegał na pomoc, gdy jego ojciec wpadał w złość. Dziękuję Stwórcy, że o niego zadbał. Że wyrósł na mężczyznę i ma prawdziwą rodzinę.

Chodziliśmy po lodzie i Ian chciał dowiedzieć się czegoś o moim ojcu. Co, u diabła, miałam powiedzieć?

Miałam powtórzyć opowieść babci o chłopcu, który stał w kącie pokoju z siekierą w ręce i słuchał, jak jego mama płacze, a ojciec rozważa drzwi? Miałam nakreślić małą wioskę w przeddzień wigilii, gwiazdziste niebo, a pod nim dom, w którym szyby dźwięczą od łomotu otwieranych drzwi?

Wybiega z nich ośmioletni chłopiec.

Ma włosy zmierzwione od snu, goła skóra paruje na mrozie, łopatki na chudych plecach jak kikuty skrzydeł. Chłopiec biegnie boso w zaspę śniegu, a na progu pojawia się mężczyzna i trzymając się futryny, krzyczy: „Chodźcie zobaczyć! Chodźcie wszyscy zobaczyć, jak szybko biega

nasz Henri!" Chłopiec pędzi naprzód, na bosaka, ręce ma zaciśnięte w pięstki. W oknach sąsiadów kołyszą się zasłony, mężczyzna wraca do środka, a chłopiec goni przed siebie, dopóki nie upadnie twarzą w śnieg. Leży tam z policzkiem w zaspie tak długo, aż matka go znajdzie, owinie w koc i zanieśie na noc do przedsionka sąsiadów.

To mój obraz ojca, a myślenie o nim boli mnie zawsze w tym samym miejscu.

Miałam nakreślić ten obraz Ianowi i powiedzieć: spójrz, oto nasza historia, tutaj jest miejsce, skąd wszystko wzięło swój początek? Chciałabym tak zrobić. Chciałabym znaleźć to miejsce. Zrobić dziurkę od klucza, przez którą widziałabym życie. Dziadek, babcia, tata, mama, Jonasz, ja. Początek naszej historii. Ale o takich sprawach innym się nie mówi. Wyobrażasz je sobie w sekrecie, czekając na sen albo autobus. I w następnej chwili wyobrażasz je sobie na nowo, inaczej.

– Ale dlaczego twój ojciec tak się zachował?

Ian ścisnął moją dłoń, marzyłam o tym długo, ale teraz wyswobadzam rękę.

– Skąd, do cholery, mogę to wiedzieć? Odsunęłam się od niego, wcisnęłam rękę do kieszeni i ruszyłam tak szybko, że Ian został z tyłu.

– Anno – zawołał cicho, łapiąc mnie za podskakujący koniec szalika – tak mi przykro.

Stał przede mną.

Miał śnieg na kurtce.



Otoczył mnie ramieniem, czapka spadła mi na ziemię.

Usta Iana miały smak kawy i gumy miętowej, zarost na policzkach drapał mi skórę. Śnieg kłębiący się dookoła chował nas w sobie, Ian przyciągnął mnie do swojego szorstkiego swetra.

## 9

Kiedy ojciec Iana wrócił z wojny, zaczęły go dręczyć koszmary.

Spał w łóżku Iana, a Ian próbował spać koło matki. Najczęściej nie mógł zasnąć. Leżał, czuwając, i słuchał, jak ojciec krzyczy w sąsiednim pokoju. Kiedy matka budziła się i wstawiała, żeby pogłaskać ojca po czole, Ian udawał, że śpi. Zakrywał głowę kołdrą, zaciskał oczy i zaczynał sobie opowiadać historię o innym ojcu.

– W tej historii mój ojciec wrócił z wojny i rozumiał sens życia – powiedział.

Siedzieliśmy u mnie na kanapie i piliśmy wino. Nadchodził świt, nasze nogi się stykały. Ciepło Iana przenikało mi przez dzinsy do skóry i zastanawiałam się, czy on czuje to samo, i co o tym myśli. Ubrania, które zamokły na spacerze, suszyły się w łazience na kaloryferze, a moje serce biło dokuczliwie głośno, Ian oparł mi głowę na ramieniu.

– W mojej historii ojciec kupił sobie motor i czarny skórzany skafander i wyruszył w podróż dookoła kontynentu.

Oczy Iana były na wpół przymknięte. Patrzyłam na zmarszczki, które otaczały je cieniuteńką pajęczynką, i myślałam o życiu Iana, zanim ja przyszłam na świat. Widziałam małego chłopca, leżącego w ciemności pod kołdrą. Miałam ochotę go przytulić.

W historii Iana jego ojciec jeździł na motorze po Ameryce i budował domy dla ludzi, którzy ucierpieli w czasie wojny. Mieszkańcy malowali je na jaskrawe kolory i sadzili drzewa owocowe na podwórzach. W domach były baseny i lekarze, i kluby, w których można było grać na gitarze i rysować.

Ian opowiadał sobie tę historię co wieczór. Jego ojciec stał się superbohaterem, który potrafił przechodzić przez ściany i widział przyszłość i cudze myśli. Zakupił nowe części do motoru i tak go zmontował, że można nim było jeździć w wodzie i w powietrzu, a w końcu również pod ziemią i w przestrzeni kosmicznej.

Kiedy w czasie lekcji chłopcy z klasy obrzucali go kulkami z przeżutego papieru albo poszturchiwali na przerwach na korytarzu, Ian zamykał oczy i myślał o wieczorze, kiedy będzie mógł zwinąć się pod kołdrą i rozpocząć podróż ku nowym przygodom ze swoim ojcem superbohaterem. W weekendy, kiedy matka i ojciec siedzieli w milczeniu po swoich stronach stołu i nikt nie dzwonił, by się z nim umówić, Ian jechał metrem do biblioteki i pożerał w czytelni książki z dziedziny geografii i astronomii. Szukał nowych miejsc dla swojej historii, prastarych miast, niezmiernych kanionów albo niezbadanych planet, do których ojciec mógłby podróżować swym wszędzie docierającym motorem.

Ian nie zwracał już uwagi na poranki, kiedy ręka matki drżała, a płatki śniadaniowe rozsypywały się na podłogę, ani na noce, kiedy powietrze przeszywał krzyk ojca.

Był tak skoncentrowany na swoim nowym ojcu, że nie zauważył, kiedy koszmary zaczęły dręczyć jego prawdziwego ojca także za dnia i kiedy matka zapomniała zapłacić za prąd albo posprzątać płatki z podłogi.

Tego dnia, kiedy Ian przyszedł ze szkoły i zobaczył matkę siedzącą w szlafroku przy stole kuchennym, a obok obcego mężczyznę, który trzymał rękę na jej udzie, nad jego górną wargą pojawił się już puszysty meszek.

Matka miała zaczerwienione oczy, a między zębami skórkę od pomidora. Dopiero teraz Ian zauważył, jak staro wygląda. Usiadł naprzeciwko i wyciągnął dłoń do obcego mężczyzny. Mężczyzna miał długie włosy, apaszkę na szyi i sztruksową kurtkę.

– Michael to stary przyjaciel – powiedziała matka. – Przyszedł trochę pomóc.

Mężczyzna podał rękę Ianowi. Miał taki uścisk, jakby dotykał spłoszonego konia albo włosów tonących pod wodą. Ian spojrzał mu w oczy.

– Co się stało?

– Twój tata jest pod opieką – wyjaśnił. – Nic mu nie będzie. Jest teraz w szpitalu specjalizującym – się w leczeniu zaburzeń posttraumatycznych. Mają nadzieję znaleźć lek na jego urojenia. Będę pomagać twojej mamie. Przeżyła ciężkie chwile. Pewnie zauważyłeś.

Ian nie zauważył. Było mu wstyd. Poczł się tak, jakby matka i ojciec się rozbili, a on sam dopłynął do lądu i o wszystkim zapomniał, zbierając korale. Ale dostrzegł,

że obcy mężczyzna patrzy na matkę wzrokiem pełnym miłości, chociaż matka miała tłuste włosy i brudne zęby. Uśmiechnął się do niego.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział mężczyzna.

Ian skinął głową, poklepał matkę po ręce i poszedł do swojego pokoju.

Przyjrzał się odbiciu w lustrze. Schudł i wyrósł. Jego ręce i nogi wydawały się dłuższe niż kiedyś, nie pasowały niemal do reszty ciała. Na brodzie miał trzy czerwone pryszczki, a na nosie czarne kropki. Poczul gęsią skórę. Nie miał najmniejszego pojęcia, kim jest.

Zdjął koszulę. Pod pachami wyrosły mu włosy. Uniósł rękę, wsadził nos pod pachę i powąchał. Pachniał inaczej niż kiedyś. Intensywniej i bardziej cierpko. Prawie tak samo, jak mężczyźni rozrabiający nocami asfalt, którzy przekrzykując hałas maszyn, opowiadali o kobietach i pieprzeniu, a ramiona błyszcząły im od potu. Prawie tak samo, jak ojciec wówczas, kiedy Ian był mały.

Zamknął drzwi na zamek i rozpiął pasek spodni. Opuścił do kolan dzinsy i majtki i spojrzał w dół. Jego penis się zmienił. Stał się duży i ciemniejszy, a dookoła rosły delikatne włoski. Dotknął go ostrożnie. Penis drgnął, Ian zadrżał.

Zamknął oczy i słuchał, jak krew w nim huczy. Naprawdę huczała. Huczało całe jego ciało, a on wcześniej tego nie zauważył. Wszystko wydarzyło się niepostrzeżenie, w czasie, kiedy on żył w świecie swojej historii. Teraz był tutaj. Patrzył na wyrosnięte nogi i ręce,

sterczące ciemne sutki i na penis, który wisiał speszony pomiędzy jego nogami, jak gdyby ktoś potajemnie wtargnął i umieścił go w tym miejscu, Ian przyjrzał się odbiciu swego ciała, które stało się ciałem obcym, i postanowił, że musi coś z tym zrobić.

Poszedł do pracy.

Trzy razy w tygodniu szedł po szkole do supermarketu i pomagał ludziom pakować zakupy do błyszczących plastikowych toreb. Miał czerwoną firmową czapkę i bluzę w kratkę, ze swoim nazwiskiem na piersi. Przed wyjściem do pracy musiał czyścić paznokcie i pastować buty.

Przy kasie siedziała kobieta starsza od niego o dziesięć lat, z paznokciami pomalowanymi na czerwono i stanikiem prześwitującym między guzikami firmowej bluzki. Kiedy ich spojrzenia się spotykały, kobieta puszczała oczko do Iana.

Pod koniec każdego miesiąca Ian przeliczał otrzymaną pensję. Wpisywał sumę do zeszytu w twardej okładce, który wszędzie ze sobą nosił. Oprócz pensji zapisywał tam fragmenty zasłyszanych w metrze rozmów albo swoje spostrzeżenia dotyczące ludzi, których widział na ulicy lub w sklepie. Takie jak: *Stary człowiek podawał gołębiom jedzenie z ust.* Albo: *Kobieta przyszła do sklepu tylko w jednym bucie. Dlaczego?* Albo: *Na przerwie obiadowej naprzeciwko mnie siedział schludny mężczyzna, który miał pod okiem żółciejącego siniaka. Czy jego garnitur krył jeszcze większe sińce?*

Odkąd ojciec się wyprowadził i Michael z nimi zamieszkał, matka Iana zaczęła znowu myć głowę. Zaczęła używać różu i szminki i nosić dżinsy, w których jej uda wyglądały jak uda młodej dziewczyny, Ian cieszył się, że matka nuci rano w kuchni i nie rozsypuje już płatków na podłogę. Jednocześnie było mu przykro z powodu ojca.

Ojciec mieszkał w małym pokoju w domu opieki dla weteranów wojennych i przyjmował leki, które sprawiały, że jego mowa stawała się niewyraźna, a spojrzenie mętne. Mówił od rzeczy i wyglądał tak staro, że mógłby być jego dziadkiem. Po każdej wizycie u ojca Ian godzinami szwendał się po obcych ulicach, zatrzymywał na moście, by popatrzeć na rzekę, i wrzucał do wody drobne monety.

Oszczędzał, by zabrać ojca z domu opieki.

Odkładał większość comiesięcznej wypłaty, by móc kupić dom, do którego ojciec się przeprowadzi. Będzie mógł pomalować ściany i posadzić w ogrodzie, co zechce. Z tyłu zbudują warsztat do majstrowania drewnianych łodzi albo leciutkich modeli samolotów. Samoloty będą miały prawdziwe silniki i będą je puszczać na łące za domem, Ian również zamieszka w tym domu, będzie pisał książki i wzywał lekarza za każdym razem, gdy ojciec będzie tego potrzebował.

Nadal opowiadał sobie wieczorami historię o ojcu, ale teraz to on odgrywał rolę superbohatera, a prawdziwy ojciec, dom na wsi, ogród i warsztat stały się częścią historii.

Co wieczór, kiedy stał przy ruchomej taśmie i pakował

do toreb zakupy obcych ludzi, myślał o domu z warsztatem i ogrodem. Pragnął go tak bardzo, że wydawało mu się, iż dom już na niego czeka.

Ian rozmyślał o domu, warsztacie i ogrodzie również wtedy, gdy kasjerka z czerwonymi paznokciami przystanęła koło niego w szatni.

– Co porabiasz dziś wieczorem? – zapytała.

Stała tak blisko, że Ian mógł wyczuć jej zapach. Pot, słodkie perfumy i miętowa guma do żucia, i coś jeszcze, co sprawiło, że między nogami Iana nabrzmiało. Poczuł gęsią skórę na ramionach. Grzebał w torbie tak długo, jak długo się dało.

– Chyba nic szczególnego – odparł.

Wyjął z dna dezodorant i czystą koszulę i skoncentrował się na tym, by głęboko oddychać.

– Pomyślałam – zaczęła kobieta, a kiedy się schyliła, jej piersi musnęły plecy Iana. – Wybieram się do kina i pomyślałam, że może chciałbyś pójść ze mną?

Ian odetchnął. To nic takiego. Musi pomyśleć, zanim odpowie.

– Czemu nie – mruknął i zabrzmiało to jego zdaniem niemal dorośle. – Na co chcesz iść?

Na białym ekranie rozciągała się dżungla. Na zieloną przestrzeń spadały bomby, których odgłos sprawiał, że coś w nim pękało. Hipnotyczny męski głos śpiewał *This is the end, my only friend, the end*, a dżungla, bomby, zakrwawione szczątki ciał i krzykliwe stroje kobiece



wirowały w nim tak, jakby śnił. Czuł bliskość kobiecego ramienia. Kręciło mu się w głowie. Ujrzał w dżungli swojego ojca, rozdieranego siłą kipiącego wokół chaosu i wreszcie wciągane do środka. Ujrzał oczy ojca zmacone przez lekarstwa.

– Muszę wyjść – szepnął do kobiety. – Niedobrze mi.

Wstała w tej samej chwili. Przechodzili schyleni przed rzędem krzeseł, a ludzie pokasływali sucho.

Kiedy wyszli z kina, Ian zaczął wymiotować. Opierał się jedną ręką o ścianę, a kobieta przytrzymała mu długie włosy z dala od twarzy. W wymiocinach był sos pomidorowy i kawałki makaronu, skurcze były tak silne, że trząsał się na całym ciele. Za każdym razem, gdy Ian przymykał oczy, dżungla przelatowała mu pod powiekami. Oderwał się od świata i znalazł w filmie, w umyśle ojca albo w nowej rzeczywistości, w której obrazy z ekranu i pamięć wszystkich, którzy przeżyli wojnę, przemieszały się, tworząc sieć, z której nie mógł się wydostać.

Poczuł na karku rękę kobiety. Jej dotyk był miękki i ciężki. Kobieta nie trafiła do dżungli. Miała na sobie białą bluzkę, dzinsową kurtkę i spodnie, i w pełni należała do świata kiosków z lodami, żółtych taksówek, ekspresów do kawy i lunchowych spotkań. W tym świecie czas płynął tak, jak to zostało ustalone, ludzie budzili się rano i wiedzieli, dokąd iść. Lekarze mieli czyste białe fartuchy, a chorzy dostawali lek na uspokojenie. Były uśmiechy i ciche popołudnia, i chwile, kiedy ludzie dotykali się prawie przez przypadek i coś się między nimi zaczynało

dziać.

Ciężar kobiecej ręki sprowadził Iana z powrotem do tego świata.

Opróżniliśmy kieliszki, Ian leżał z głową w moich ramionach, a ja przesuwając palcami po jego włosach. Chciałam przeniknąć przez skórę głowy do umysłu Iana. Kiedy zamknęłam oczy i skoncentrowałam się na nierównościach skóry pod opuszkami moich palców, odniosłam wrażenie, że tak się stało.

– To był mój pierwszy raz – powiedział.

Przełknęłam. Wyczułam włosy przerzedzone na skroni, łuk czoła i znamię za lewym uchem. Wgłębienie na potylicy i zarost na policzku, pod spodem blizny po młodzieńczych pryszczach. Miętkość skóry pod koszulą. Oddech, który przyspieszał, gdy moja ręka wędrowała niżej.

Widziałam tamten wieczór. Chuderlawego Iana i napięte guziki na kobiecej bluzce. Dżinsy opadające na zniszczoną wykładzinę. Rumieniec na jego policzkach. Wędrowkę oczu, szukających czegoś, na czym miałyby odwagę się zatrzymać. Białą, błyszczącą skórę kobiety. Widziałam to oczami Iana. Łagodne wygięcia i powierzchnie, przerażające i podniecające zarazem, szczerze wznoszący się wzgórek, którego trzeba było, trzeba, trzeba, trzeba było natychmiast dotknąć. Nieśmiało wędrujące palce i przykrywająca je delikatna i silna dłoń. Wargi Iana, jego zęby i język.

Wargi Iana były suche, a na języku czuć było wino. Ciało pachniało mrozem, papierosami i potem. Ręce były duże, silne i szorstkie.

# 10

*Mamo Jestem na dworze i nie wiem, kiedy wrócę.*

*Ojciec porwał mi na strzępy zeszyty z kółka naukowego jak się pokłóciliśmy. Anna próbuje je czymś posklejać.*

*Może już nigdy nie wrócę.*

*Jonasz*

*PS Nie martw się. Odrobiłem lekcje*

Szpital jest tuż za parkiem.

Na oddziale, gdzie trzymają mojego Jonasza, drzwi na korytarz są zawsze zamknięte na klucz, ale drzwi od toalet należy pozostawiać otwarte. Balkony otacza druciana siatka, ludzie stojący za nią mają wzrok mętny od zażywanych lekarstw, a na palcach ślady nikotyny. Przez siatkę mogę zobaczyć pokratkowany świat: zadbane aleje parku, klony o gęstych koronach, drewniane ławki i kościół, z którego wieży wiele lat temu skoczył młody mężczyzna. Ludzie na balkonach często o nim rozmawiają. Opowiadają z rozmarzeniem o nim i o tym drugim, który skoczył z mostu, a jego ciało zaplątało się w śrubę okrętową zatopionego statku. Tak jakby opowiadali o fascynacji tajemniczą nieznajomą, która spoglądała na nich wystarczająco długo.

W pokoju Jonasza są cztery łóżka, a przy nich osiem kapci z nazwą szpitala. Tamtego dnia, którego nie chcę pamiętać, Jonasz wypił płyn z wózka sprzątaczkii, został wysłany na płukanie żołądka, po czym uciekł. Była zima, a on biegł przez miasto w rozpiętym szlafroku, w kapciach na gołe stopy. Biegł przez miasto, a jego nazwisko zgłoszono policyjnym patrolom. Biegł tak, jakby gdzieś istniało miejsce, do którego mógłby pójść.

Powinnam usiąść na brzegu jego łóżka, dotknąć ręki pokrytej bliznami i zapytać Jonasza, jak się czuje.

Powinnam posłuchać. Pogadać o tym i owym.

Powinnam powiedzieć, że na dworze świeci słońce i że tego dnia, kiedy go wypuszczą, przyjdę po niego i będę mu niosła torbę. Zabiorę go na lody nad morze i na piwo do ogródka, i na wycieczkę rowerową, dokąd tylko zechce. Będę z nim i powiem: zobaczcie, oto mój brat, a ja kocham go tak bardzo, że nikt nie ma prawa źle o nim myśleć.

Ludzie gadają o tym szpitalu. „Niedługo będę w takim stanie, że mnie tam zabiorą” – mówią, wiedząc, że z pewnością nie zabiorą. Nikt nie myśli o tym szpitalu jak o miejscu, w którym naprawdę spędza się tygodnie, miesiące albo lata. Miejscu, do którego idzie się odwiedzić najukochańszą na świecie osobę. O tym szpitalu na głos mogą mówić tylko ci, którzy nigdy nie mieli z nim nic wspólnego.

Nie mogę tam iść. Nie chcę w ogóle o tym myśleć.

Chcę odwiedzać Jonasza w małej wynajętej kawalerce albo w szeregowcu gdzieś daleko, parzyć kawę i narzekać, że mama jest znów nie do wytrzymania. Chcę się z nim upić przez przypadek i wspominać dzieciństwo. Chcę dzieciństwa, które można wspominać. Życia, o którym można opowiadać innym. Brata, który ma prawdziwe życie.

Siedzę na ogrzanej słońcem ławce z książką na kolanach i zapalam papierosa. Chcę mieć tylko tę chwilę. Chcę być jakąś kobietą siedzącą w słoneczny dzień na ławce w parku, kobietą, która na kogoś czeka albo dokądś idzie. Przeczytać tę książkę. Chcę do Anglii z 1920 roku,

gdzie zmęczona pisarka patrzy na mężczyznę i kobietę oddalających się ulicą i czuje osamotnienie, czuje bliskość diabła.

Chcę siedzieć na ogrzanej słońcem ławce, pod którą pachnie świeża trawa, nad którą pochyla się klon. Czytać w książce o diable, czytać okrągłe zdania i myśleć, że może rozumiem. Siedzieć tutaj, wachać wiatr i wiedzieć, że wkrótce nadejdzie lato, a morze się ociepli.

Żwirową aleją idą dwie objęte dziewczyny. Są trochę młodsze niż ja wtedy, kiedy po raz pierwszy zabrali Jonasza do szpitala. Dziewczyny są ubrane w adidasy na grubych podszwach, wiszące džinsy i obcisłe bluzki, przez które trochę prześwituje zapięcie stanika. Kiedy byłam w ich wieku, nienawidziłam swoich piersi. Chowałam je pod wielkim puszystym swetrem i wstydziłam się, gdy chłopcy wpychali mi pod spód zimne ręce. Dziewczyny palą papierosy, gestykują jak dorosłe i śmieją się, połyskując bielą zębów.

## 12

Gdy idzie się ze szpitala w stronę morza, dochodzi się na podwórze innego szpitala. Na jego kamiennych ścianach jest pełno wygrawerowanych wzorów. Pałac księżniczki, myślałam, gdy byłam mała, kiedy trzymając się za ręce, szliśmy tam, żeby porozmawiać o Jonaszu.

Wiedziałam, że Jonasz ma *kogoś*. Ktoś sprawiał, że Jonasz siedział godzinami w milczeniu i nagle, w domu, w przedszkolu albo w szkole, podnosił wzrok i zaczynał mówić o szatanie. Widziałam to na jego twarzy w nocy, kiedy stał samotnie przy oknie, ze zgarbionymi plecami i skrzydełkami łopatek pod piżamą. W takich chwilach zaciskałam palce, aż czerwieniały, i modliłam się, aby Bóg dostrzegł mojego Jonasza i wziął go w opiekę.

Mama tłumaczyła, że to ten ktoś w Jonaszu sprawił, iż tata stracił nad sobą panowanie.

– Henri się boi – powiedziała, kiedy po wycieczce samochodowej stałam z telefonem w ręce, oświadczając, że zadzwonię po obrońców praw dziecka, żeby po nas przyjechali. – On kocha Jonasza, ale nie potrafi inaczej.

Głaskała mnie po głowie, odkładając słuchawkę i schylając się, by wyjąć wtyczkę z kontaktu pod komodą.

– Oni potrzebują pomocy. My, dziewczynki, będziemy silniejsze i pomożemy, prawda?

– Prawda.

My, dziewczynki, siedziałyśmy w kręgu w pokoju



rodzinnym szpitala dziecięcego, obok Jonasza i taty. Naprzeciwko nas uśmiechały się dwie kobiety z notatnikami, a w ścianie było lustro fenickie, za którym siedział lekarz przełożony. Oni wszyscy chcieli nam pomóc. Wymyślić, co takiego tkwi w Jonaszu, i jak to wypędzić. Dlatego ich kochałam. I dlatego, że mnie poprosili, żebym się bawiła w dom małymi lalkami i robili notatki w swoich zeszytach.

– Przedłużająca się faza negatywnego nastawienia – uznały kobiety po wycieczce samochodowej, kiedy tata opowiedział, jak Jonasz mówił o szatanie. O tym, co wydarzyło się później, nie było mowy.

– Trudne dojrzewanie – mówiły inne kobiety w innym pokoju po tym, jak Jonasz, któremu dokuczali w gimnazjum, odmówił chodzenia do szkoły.

Na uroczystości zakończenia roku szkolnego, kiedy sala była przystrojona brzożowymi gałązkami, a chór przygotowywał się do odśpiewania *Pieśni lata*, Jonasz zakradł się za kurtynę i podłożył pod pianino bombę własnej produkcji. Wolałam nie myśleć, co by się stało, gdyby nauczyciel muzyki jej nie zauważył, a nauczyciel chemii nie wiedział, jak ją rozbroić.

– Ale jest wyjątkowo inteligentny – dodawały kobiety.  
– Mogą być państwo z niego dumni.

Podobały mi się ich słowa. Podobało mi się poczucie, że nie jestem za wszystko odpowiedzialna, tylko ktoś inny nas poprowadzi. Podobała mi się zdobyta dzięki tym spotkaniom wiara, że wszystko, co się zdarzyło, przypisane

jest do pewnego czasu, okresu przejściowego, na którego końcu czekało nas zwykłe życie. W tym życiu Jonasz będzie miał dzieci, będzie chodził do pracy i uprawiał sport, i płacił podatki, a my będziemy spędzać Boże Narodzenie pośród trzypokoleniowej rodziny.

Chociaż początek tego życia wciąż się odsuwał, nie traciłam wiary. Jeszcze ten jeden okres, ten terapeuta, ta rozmowa i wtedy. Jeszcze trochę czasu, a potem oboje nas będzie czekać krzepiąca dorosłość, w której strach i przygnębienie odsuną się na właściwy dystans i wszystkie problemy uda się rozwiązać za pomocą słów.

W przeddzień Wigilii, kiedy byłam trochę młodsza niż dziewczyny ze szpitalnego podwórza, nadal byłam pewna, że to życie kiedyś się rozpocznie.

Mama i tata robili ostatnie zakupy, a my z Jonaszem piekliśmy pierniki. W oknie świeciły się lampki, z salonu dochodził zapach świerku. Jonasz uniósł głowę znad ciasta i zapytał, czy nie chciałabym trochę odlecieć.

– Co?

– Odlecieć. Na haszu. Napić się świątecznej herbaty z haszyszem.

Wycinałam z ciasta prosiaczki z okrągłymi łapkami, a z miejsc pomiędzy nimi maleńkie księżyce. Ciasto pachniało cynamonem i goździkami, ciepło piekarnika rozlewało się po kuchni. Moje święta nadejdą jutro. Będziemy razem siedzieć na kanapie w salonie i oglądać w telewizji program bożonarodzeniowy. Mama usiądzie

między mną a Jonaszem. Położy nam ręce na ramionach. To będą moje święta i nawet Jonasz pozwoli się dotknąć. Tata będzie podawał na tacy jasny grog, a my wszyscy będziemy dotrzymywać niepisanej umowy. Żadnych awantur podczas świąt. Choćby nie wiem co, żadnych awantur podczas świąt.

– To co?

Jonasz zgniatał w ręce ciasto na piernik, jakby zamierzał je gdzieś wyrzucić. Za jego plecami wisiał kalendarz adwentowy, w którym mogliśmy otwierać na zmianę po jednym okienku.

– Nie lepiej z tym poczekać do Nowego Roku? Do tej imprezy, o której mówiłeś?

– Jesteś cykor.

– Nie jestem cykor. Po prostu teraz mi się nie chce.

Wciskałam oburącz foremki w piernikowe ciasto. Jonasz wyrywał kulki ze swojej części i wpychał je do ust. Jutro jego kolej na czekoladkę z kalendarza. Dzidzius o okrągłych policzkach będzie leżał z zamkniętymi oczami w stajennym żłobie i wszystko będzie dobrze.

– No przecież możesz przyznać, że się cykasz. Cały czas to wiedziałem. Tylko ty próbujesz wmawiać coś innego.

*Jutro są święta.* Usiłowałam przenieść tę myśl do głowy Jonasza.

– Upierasz się, żeby cię zabierać, jak się coś fajnego dzieje. „Weź mnie na imprezę!” Narobiłabyś mi strasznej siary.

Zapach bożonarodzeniowej zapiekanki z brukwi. Krasnal z jedną nogą wiszący na gałęzi choinki. Świąteczne anioły. Bombonierka z czekoladkami. Wstążka od prezentu. Koszyk, w którym się wnosi prezenty. Jonaszku, proszę. Pamiętasz, jak może być u nas miło?

„Czy nie jest fajnie, że możemy piec pierniki i bawić się w dom? Idealne święta. Żeby tylko Jonasz...”

Nie. Niszczy. Tego.

– No chyba będę musiał powiedzieć Mice. Że się wszystkiego boisz.

Mika. Mika był najlepszym przyjacielem Jonasza. Jego ojciec siedział w więzieniu, a matka próbowała popełnić samobójstwo, wkładając głowę do piekarnika kuchenki gazowej. Nocami, gdy nie mogłam zasnąć, opowiadałam sobie historie o mnie i o Mice. Spotkam go przez przypadek w zimowy wieczór na ulicy. On będzie smutny i będzie próbował to ukryć, ale ja od razu zauważę jego łzy zamrożone na rzęsach. Będziemy razem szli cichymi ulicami i zatrzymywali się od czasu do czasu, żeby popatrzeć na pojedyncze rozświetlone okno w śpiącym budynku.

Po jakimś czasie Mika zacznie mówić. Opowie o nocach, kiedy leżał, wstrzymując oddech pod kołdrą i nasłuchując kroków matki. O krótkich spotkaniach w pokoju widzeń w więzieniu i o swetrze, który jego ojciec nosił, kiedy był młody. Będę go słuchać w milczeniu. Kiedy o mało się nie poślizgnę, Mika złapie mnie za rękę niby mimochodem. Będziemy przez całą noc chodzić po

ulicach, splatając palce ciepłych dłoni, a ja odnajdę właściwe słowa, by poprawić mu samopoczucie. O wschodzie słońca Mika zrozumie, że jeśli mi tylko pozwoli, zdołam zaleczyć jego rany.

Mika zostawił właśnie dziewczynę. Urządzał u siebie sylwestra i od Jonasza zależało, czy Mika mnie tam zaprosi.

– Dlaczego chcesz odlatywać akurat teraz?

– Na cześć świąt. Byłoby nieźle zrobić coś z tobą. W tajemnicy przed starymi. Tak jak kiedy byliśmy mali.

– Mhm.

Jonasz zagotował wodę na herbatę. Przyniósł ze swojego pokoju zawiniętą w folię bryłkę, która wyglądała jak zeschnięte ciasto na piernik, i rozkruszył ją w gorącej wodzie. Na jego kubku były białe serduszka na czerwonym tle. Na moim było napisane „Mama”.

– Za święta – powiedział Jonasz i stuknął kubkiem o mój kubek.

– Za imprezę sylwestrową – dodałam.

– Chyba jesteś w nim ostro zabujana.

– Wcale nie. Przecież nawet go nie znam.

– Piliśmy herbatę z haszyszem i wspominaliśmy wakacje, kiedy jeździliśmy przyczepą nad Morze Arktyczne i wrzucaliśmy z tatą chleb do wody. Wspominaliśmy święta, kiedy mama i tata siedzieli na sofie, trzymając się za ręce, a my w tajemnicy zlizywaliśmy nadzienie z czekoladek. Jonasz opowiadał o gangu, który w piątkowe wieczory wysiadywał na

skałach na tyłach podwórza i pił malinowe jabole kupione przez meneli. Mika i Jonasz byli szefami tego gangu. Potrafili swobodnie chodzić z kijem do baseballa albo anteną samochodową ukrytą w nogawce i wyjmować je szybciej niż ktokolwiek inny.

Brali udział w weekendowych bójkach, w których karano za coś chłopaków z innej dzielnicy albo ze szkoły. Dziesiątki gimnazjalistów zbierały się w miejscu spotkania o umówionym czasie, oprócz anten i kijów baseballowych mieli ze sobą kastety, łańcuchy i szybkie noże sprężynowe. Mówili o kopniakach z półobrotu, wypadających zębach i zmiądzonych nosach tak, jakby wszystko było komiksem albo grą, w której dostaje się punkt za trafienie, ale ludzie odbudowują się w jednej chwili i nic nie ma realnych następstw.

Kiedy musieli wylizać się z poprzedniej bójki i przygotować do następnej, jeździli kradzionymi samochodami i organizowali imprezy, na których się upijali i wysysali dziewczynom malinki na szyjach. Chciałam się bawić razem z nimi.

Chciałam siedzieć na skale obok Miki i pozwolić mu się objąć w talii. Wychodzić z nim z imprezy, spacerować po śniegu, trzymając się za ręce, i gadać o tym, że my pragniemy od życia więcej niż inni. Siedzieć na tylnym fotelu skradzionego samochodu i pić piwo z jego butelki.

Jonasz nie chciał mnie ze sobą zabrać.

– To nie twoje klimaty – tłumaczył. – Jesteś za delikatna na takie rzeczy. Tylko bym się za ciebie wstydził.

Ale teraz piliśmy razem herbatę z haszyszem i Jonasz obiecał, że jeszcze to przemyśli.

*I cant remember anything. Can't tell if this is true or dream. Deep down inside I feel to scream. This terrible silence stops me.* Leżeliśmy na podłodze, a Jonasz trzymał mnie za rękę. Z mojej perspektywy jego twarz była odwrócona do góry nogami i Jonasz wyglądał jak stara żaba. Włączaliśmy wciąż na nowo *One* Metalliki. Śpiewaliśmy razem z wokalistą. *Hold my breath as I wish for death. Oh please God, wake meeee!!!*

Słomiany lampion wirował u sufitu. My wirowaliśmy na podłodze. Wirowały ściany. Basy dudniły mi w piersi i w brzuchu. Jonasz ścisnął mnie za rękę i zaśmiewaliśmy się tak, że aż brzuch mnie rozboleł.

– Co tu się, do cholery, dzieje?

Z czubków zimowych butów taty spływało błoto. Na świeżo upranych dywanach zostały szare zacieki. Leżeliśmy na podłodze, a ślady otaczały nas kołem. Z kuchni dolatywał swąd spalenizny.

– Pierniki! – To był głos mamy i dobiegał z daleka.

– Co wyście, do cholery, zrobili? – to był głos taty i dochodził z tak bliska, że głowa rozpadała mi się na kawałki.

Kiedy tata podniósł Jonasza z podłogi i uderzył go w twarz po raz pierwszy, byłam pewna, że w ogóle mnie nie zauważył. Jonasz miał na wpół przymknięte oczy. Z kącików ust spływała mu krew. „Jonasz nie czuje bólu – myślałam. – Jonasz jest w głębokiej, miękkiej chmurze

haszyszu i żaden ból nie może się przez nią przedostać".

Kiedy tata uderzył po raz drugi, Jonasz upadł na kolana. Jego koszula podwinęła się do połowy pleców i but taty uderzył w gołą skórę.

– Henri! – Mama stała w drzwiach salonu. Śwąd spalonych pierników przenikał cały pokój. – Przestań. Uszkodzisz mu nerkę!

Miała przybrudzoną rękawicę, a na policzkach czarną smugę. Szyja ojca była ciemnoczerwona. Krew Jonasza kapała na dywan w salonie.

Pochyliłam się i przytuliłam Jonasza. Odepchnął mnie od siebie i wstał. Był chudy i wyższy od taty. Wiedział, jak zmiażdżyć komuś kolana.

Stanął przed tatą i kopnął go w udo. Najpierw leciutko, jakby chciał sprawdzić, czy to możliwe. Tata odchylił się do tyłu. Uniósł nieco ręce i przez chwilę wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć.

Drugie kopnięcie wyglądało jak w filmach karate i trafiło tatę w usta. Krew popłynęła mu po brodzie. Trzecie kopnięcie trafiło w skroń i tata upadł na ziemię.

Tata nic nie powiedział.

Mama nic nie powiedziała.

Tata osłonił twarz rękami, a Jonasz jeszcze raz go kopnął. Prosto w plecy, w to samo miejsce, gdzie tata kopnął jego.

Nie bronił się, kiedy wyprowadzałam go na zewnątrz. Trzymając go za rękę, założyłam mu lotniczą kurtkę i buty. Zabrałam swoją puchówkę, czapkę i szal. Mama stała



w drzwiach. Wciąż miała w ręku rękawicę kuchenną.  
Czarna kreska na jej policzku rozlała się w szarą plamę.

## 13

Rozświeciła się ekran telefonu. Dzwoni mama. Naciskam kciukiem klawisz z czerwoną słuchawką, wycieram oczy serwetką i zapalam papierosa.

„On mówi, że już się o niego nie troszczysz”.

Wcale nie zamierzałam zawrócić. Wcale nie zamierzałam wstać z parkowej ławki, schować książki do torby i przekraść się do kawiarni po drugiej stronie ulicy. Nie.

Miałam zebrać siły i pójść do szpitala jak do pierwszego z brzegu urzędu, w rozpiętej kurtce i z szalem powiewającym na ramieniu.

– Dzień dobry – miałam powiedzieć. – Jestem siostrą Jonasza Louhiniitty'ego.

Zabawiłabym czterdzieści minut albo godzinę, wróciła do domu i zrobilibyśmy z Ianem makaron z mozzarellą. Wieczorem Ian głaskałby mnie po głowie, przed zaśnięciem opowiedziałabym mu coś o szpitalu i trochę popłakała. Tylko trochę, na miarę chlipania, bez wycia i urywanego oddechu. Płakałabym tak, jak płaczą ludzie, którzy wiedzą, że smutek odejdzie już za chwilę, a następny dzień będzie znowu zwyczajnym, znośnym dniem.

Przede mną paruje cappuccino. Piana jest gęsta i stężała jak wata cukrowa. Przekłuwam łyżeczką biały wzgórek i wdycham zapach kawy. Przyciskam dłonie do

wypukłych brzegów filizanki. Parzą mi skórę.

A jeśli pewnego dnia Ian w taki sam sposób przyciśnie dłoń do mojego brzucha, wyczuwając pod naciągniętym zaokrąglonym wzniesieniem uderzenia maleńkiego serduszka? A jeśli pewnego dnia przyciśnie do niego twarz, żeby poczuć przez moją skórę zapach nowego życia? A jeśli ten dzień nigdy nie nadejdzie? Jakie dni będę musiała wówczas przeżyć?

– Jeśli urodzi się nam dziecko, jak będzie miało na imię? – zapytał Ian.

Leżał na sofie z głową na moim brzuchu, a ja okręcałam na palcu kępkę spoconych włosów. Ian nie miał na sobie koszuli. Na chudym torsie rosło mu parę włosów. Moje palce znały te miejsca na pamięć, tak jak ja znałam na pamięć jego płatki uszu, obojczyki i pośladki, i punkt na plecach w okolicach krzyża, gdzie miał wysuszoną skórę.

Spędziliśmy w moim mieszkaniu trzy doby. Co jakiś czas jedno z nas biegło do sklepu, w rozpiętej kurtce i byle jak wciśniętych butach, zgarniało–z półek bagietki, winogrona, biały ser pleśniowy, pudełko drogich zagranicznych truskawek i przybiegało do domu z torbą jedzenia. Leżeliśmy na sobie, wędrowaliśmy palcami po swoich ciałach, roztrząsaliśmy dzieciństwo i młodość, ból i śmiech, i sny. Rozmawialiśmy tak, jak zwykle rozmawia się z nieznajomymi, na których się wpada po pijaku tuż przed zamknięciem lokalu, z wiarą w to, że rano nie będzie się pamiętać ich twarzy.

Badając palcami skórę Iana, zdążyłam sobie wyobrazić nasze wspólne życie. Stary dom z drewna i ogień połyskujący w kaflowym piecu, Iana pochylonego nad książką i siebie samą z kubkiem herbaty w dłoni, patrzącą przez okno. Białe gwiazdy i gwiazdki padającego

śniegu, ciepło ognia za moimi plecami i chwilę, tylko tę chwilę, bez strachu o to, co miałyby się zdarzyć później.

Równocześnie wczołgały mi się do głowy inne myśli, Ian wyobraził sobie to samo co ja. Również w jego wyobraźni pojawił się obraz przyszłości, na którym bylibyśmy my dwoje. Grubsi, ze zwiotczoną skórą, jedno z nas kończy opowiadać dowcip, który rozpoczęło pierwsze. Ale na jego obrazie nie byłoby nas dwoje, tylko więcej. Ja i Ian w restauracji, pytający o krzeselko dla dziecka, zbierający z podłogi pozostawione zabawki, czekający na powrót pijanego nastolatka do domu.

Odwróciłam się tak, że głowa Iana ześlizgnęła mi się z brzucha. Zdjęłam rękę z jego włosów i podniosłam się do pozycji półsiedzącej.

– Nie będziemy mieli dziecka – powiedziałam. – Nigdy bym się nie odważyła. Dać komuś życie.

Zanim Ian zdążył cokolwiek powiedzieć, zaczęłam opowiadać o mojej mamie, która jeszcze nie była moją mamą, tylko małą dziewczynką o przestraszonym spojrzeniu i włosach zebranych ciasno na czubku głowy.

Ojciec mamy zginął na wojnie i babcia wysłała ją do Szwecji, tak jak robiło to w tamtym czasie wiele fińskich matek. Nowa rodzina mamy mieszkała w czerwonym drewnianym domku z kaflowym piecem i białymi futrynami okien, zupełnie jak w Bullerbyn. Ale nowa rodzina nigdy nie stała się jej rodziną. Wieczorami, kiedy pozostali szli już spać, mama siadywała samotnie przy oknie i marzyła o nadchodzących latach i o świętach

Bożego Narodzenia, kiedy jej dzieci będą tańczyć dookoła choinki i wszystkie będą w fartuszkach z tego samego materiału.

Zanim mama stała się naszą mamą, kochała mężczyznę starszego od niej o wiele lat, który miał czarne brwi i blizny na nadgarstkach, pił piwo na śniadanie i pisał wiersze o ubóstwie i rewolucji. Zanim mama stała się mamą, siedziała na jego łóżku w czerwonej bluzce w białe koła i czekała, aż mężczyzna skończy pisać i do niej przyjdzie.

Kiedy wreszcie się podniósł, usiadł na łóżku i odpiął guziki bluzki, kobieta marzyła, by to, co się wydarzy, uczyniło ją matką. Marzyło jej się dziecko o czerwonych policzkach i czarnych brwiach, które sprawi, że ona poczuje się spełniona, a on zacznie się uśmiechać swobodniej niż przedtem. I że wszyscy troje przeprowadzą się z wynajmowanej sztokholmskiej kawalerki do drewnianego domu, w którym będzie pachniało jabłkami i gałązkami świerku.

Mężczyzna zaklinał się, że tak się nie stanie.

– Jak, do cholery, możesz chcieć wydawać dzieci na taki świat? – zapytał i odwrócił się do niej plecami. Kobieta zacisnęła pięści.

Kiedy odezwał się w taki sposób wystarczająco wiele razy, przestała o tym mówić. Ale w zimowe wieczory, podczas samotnych spacerów po zaśnieżonych ulicach, zatrzymywała się, by popatrzeć na oświetlone okna i lampy z różowym abażurem na drewnianej nóżce. Wyobrażała

sobie rodziny mieszkające za szybą, ojca i matkę całujących dzieci na dobranoc i siadających naprzeciwko siebie w kręgu światła lampy, by czytać książki i delektować się smakiem wina.

Kiedy kobieta wracała do domu, widziała pijanego mężczyznę, który z butelką wina siedział przy maszynie do pisania i ciężko oddychał. Czasami, kiedy próbowała zacząć rozmowę o czymkolwiek, co sprawiłoby, że mężczyzna uśmiechnąłby się albo odpowiedział, albo narysował jej na plecach słonia lub lwa, mężczyzna uderzał dłonią w stół i krzyczał.

– Co ty sobie, do cholery, wyobrażasz, że co ty wiesz o życiu? – pytał, a jego oczy błyszczały obco. – Chcesz wtłoczyć wszystko wokół siebie w malutką idyllę, gdzie wszystko jest czyste i pachnące i wszyscy chcą dobrze dla wszystkich. Ale tak nie będzie. To niemożliwe. Rozumiesz? Taka idylla nie istnieje!

Kiedy kobieta usłyszała te słowa wystarczająco wiele razy i kiedy wystarczająco wiele nocy spędziła w wąskim łóżku, czuwając i patrząc na plecy mężczyzny, postanowiła spakować dużą podniszczoną walizkę i wykupiła bilet promowy do Helsinek.

Przez całą drogę stała na pokładzie. Padał grad i wiało, czapka zrobiona na szydełku przez jej szwedzką mamę poleciała z wiatrem do morza. Kobieta trzymała się gołymi rękami za poręcz, a na jej twarzy grad mieszał się ze łzami.

Wiele miesięcy po tym, gdy statek dopłynął do portu, kiedy już rozpakowała walizkę i poczyniła próby, by

poznać swą fińską mamę, i kiedy nauczyła się mówić po fińsku bez obcego akcentu, wybrała się na spacer nad morze. Był jasny wczesnojesienny dzień, kobieta miała na sobie jasnobrazową kurtkę z popeliny i chustkę w kwiaty, a gdy mijiała stare kamienice i staroświeckie latarnie, usłyszała za plecami jakieś krzyki.

Odwróciła się i zobaczyła nadchodzącą z hałasem grupę ludzi, którzy nieśli tablice z kartonu i jednym głosem krzyczeli: „Pomóżmy Czechom i Słowakom!”, „Viva Dubček!” Setki ludzi maszerowały w ścisłych grupkach, niektórzy trzymali się za ręce.

Kiedy większość pochodu ją minęła i kobieta owinęła szczelniej szyję chustą, poczuła chwilową radość i ukłucie braku przynależności, i kiedy właśnie zastanawiała się, czy starczy jej odwagi, by dołączyć do manifestantów, zauważyła na końcu pochodu mężczyznę o gniewnej twarzy. Szedł w pewnej odległości od reszty, miał rozpiętą kurtkę i ręce głęboko w kieszeniach. Jego głos brzmiał donośniej i niżej niż głosy pozostałych, a gdy krzyczał, oczy zwięzały mu się w szparki. Zanim kobieta zdążyła cokolwiek postanowić albo pomyśleć, co chce zrobić, zauważyła, że idzie obok niego i dopasowuje swój krzyk protestu do jego rytmu.

– Nie wiem, czy się zakochałam w twoim tacie – wyznała wiele lat później, kiedy ją zmusiłam, by mi opowiedziała o czasie przede mną. – Ale jakoś tak poczułam, że właśnie on mógłby mi dać to, o czym marzyłam.



Niepostrzeżenie zaczęłam płakać, Ian wstał i przyniósł mi papier toaletowy z łazienki. Wytarłam oczy i zastanawiałam się, co bym poczuła, gdyby wyszedł i już nie wrócił.

– Nigdy nie odważyłam się zapytać, co mama myśli teraz – powiedziałam, gdy wytarłam oczy i wydmuchałam nos. – To znaczy o tym, jak się spełniło jej marzenie.

Ian wyrzucił do śmieci przemoczony zwitek papieru, nalał mi szklanekę wody z kranu i znowu przy mnie usiadł. Poruszał się po moim mieszkaniu, jakby był u siebie, i to wydało mi się przerażająco przyjemne.

– Więc jak się spełniło? – zapytał.

Milczał tak długo, że odważyłam się opowiedzieć.

To była noc poprzedzająca wigilię. Jonasz szedł przede mną i spluwał na ziemię, ja zawiesiłam wzrok na futrzanym kapturze jego kurtki. Byłam wciąż zamroczona. Latarnie uliczne i ciemne okna domów falowały wokół mnie, ale musiałam trzymać się w karbach. Musiałam się skoncentrować na plecach Jonasza i na wszystkim, co zdarzyło się przed chwilą w domu. W jakiś sposób musiałam do rana doprowadzić wszystko do porządku.

Na schodach kościoła Jonasz się odwrócił. Para wydechana z ust sprawiła, że jego twarz złagodniała.

– Chcę być sam – powiedział. – Wracaj do domu.

Zacisnęłam palce u nóg. Zimno przenikało mnie od nóg do miednicy i żołądka. Jonasz miał na czubkach głąnów ślady zakrzepłej krwi. Patrzyłam na jego spuchniętą dolną wargę i włosy opadające na kaptur. Nienawidziłam go tak bardzo, że paliło mi płuca.

„Zamieńmy się – chciałam powiedzieć. – Ty bądź mną, a ja będę tobą. Pozwól mi pójść i kopać sklepowe szyby, spędzić noc w areszcie i obudzić się następnego dnia rano po to, żeby wypić piwo. Ty bądź moją siostrą i idź do domu posprzątać po tym wszystkim”.

Kiwnęłam głową.

– To idź – odparłam. – Obiecuj, że nie zrobisz nic głupiego.

Jonasz odszedł, nie oglądając się za siebie, trzymał

ręce głęboko w kieszeniach, a ramiona tak wysoko, że wyglądało, jakby w ogóle nie miał głowy.

Kiedy zniknął, wspierałam się na skały na tyłach naszego domu i położyłam. Śnieg padał mi na twarz. Zamknęłam oczy i czułam, jak płatki topnieją mi na policzkach i czole. Nie zwracałam uwagi na ramiona i biodra zapadające się ku zamarzniętej ziemi ani na opuszki palców rąk i stóp, które traciły czucie i topniały w śniegu. Widziałam moje ciało gdzieś daleko, mały pagórek, który śnieg przykrywał czystym welonem.

Nad ranem, kiedy ktoś zaczął łomotać do drzwi, wyobrażałam sobie, że wystarczyło mi odwagi, by pozostać na dworze. Że mogłam odpoczywać pod śniegiem do wiosny, nieświadoma niczego, co się do tego czasu zdarzy.

Słyszałam, jak Jonasz hałasuje w przedpokoju. Zwinęłam się w kłębek pod kołdrą i modliłam, żeby poszedł szybko do siebie i żebym usłyszała zza ściany jego miarowy oddech.

Kroki Jonasza skierowały się do kuchni. Brzęczał szafkami i szufladami. Zacisnęłam ręce wokół kolan i powtarzałam: „Boże kochany. Pokaż, że istniejesz. Spraw, żeby Jonasz poszedł spać. Nie pozwól, żeby tata się obudził. Jeśli jesteś, nie pozwól, żeby teraz stało się coś złego”.

Słyszałam kroki i szelesty. Oddech Jonasza i to, jak cicho przeklął. Bicie mojego serca w długiej chwili ciszy. Wyczułam delikatny zapach dymu, dolatujący do pokoju.

Nie. Nie to. Bądź tak dobry i spraw, żebym to sobie tylko wyobrażała. Poczułam woń palącego się drewna. Wstałam z łóżka, otworzyłam drzwi i zobaczyłam płomienie. Zobaczyłam Jonasza na tle płomieni. Stał bokiem do mnie i przecierał oczy, jakby powątpiewał w to, co się dzieje.

*Im mniej drzewo ma tlenu, w tym krótszym czasie zaczyna się palić.* Zdanie z ćwiczenia Jonasza na kółku zainteresowań w podstawówce. Przypomni mi się zeszyt w niebieskiej okładce i okrągłe pismo, Jonasz we flanelowej koszuli i w okularach sklejonych srebrną taśmą, który tłumaczy, jak z octu, sody i płynu do naczyń robi się wzbierający wulkan.

– Zostanę naukowcem! – oświadczył Jonasz.

– Musimy pamiętać o garniturze na uroczystość wręczenia Nobla – śmiał się tata.

Siedzieli obok siebie przy kuchennym stole, a tata pokazywał, jak za pomocą kostki paliwa, która wygląda jak kostka cukru, można uruchomić maszynę parową. Ja siedziałam w ukryciu pod wieszakiem i ssałam krawat taty. Nienawidziłam Jonasza, bo tata mierzwił mu włosy i opowiadał o maszynach i nauce takie rzeczy, jakich mi nigdy nie mówił. Nienawidziłam taty za to, że pojedzie z Jonaszem po Nagrodę Nobla, a dla mnie zostanie tylko mama.

Odepchnęłam go od choinki. Kopnęłam płonące drzewko na podłogę i przykryłam płomienie dywanem z salonu.

Uderzałam jeszcze dywanem o tłący się pień, kiedy zobaczyłam tatę w drzwiach sypialni. Oderwał mu się guzik od koszuli pizamy, a na skroni, tam gdzie trafił go kopniak Jonasza, miał siny guz i zakrzepniętą krew.

Już miał ruszyć w moją stronę, ale przeciągnęłam ręką po szyi w geście podrzywania gardła i bezgłośnie powiedziałam:

– Stój tam.

Mama pociągnęła go z powrotem do sypialni. Za drzwiami słyhać było prowadzoną szeptem gwałtowną wymianę zdań. Spróbowałam podejść do Jonasza.

– Zostaw – powiedział. – Nie dotykaj. Nie zbliżaj się.

Siedział na podłodze z twarzą w dłoniach i się trzął. We włosach miał kawałek skurzonego przypalonego łańcucha, a dookoła leżały popękane anioły i bombki ozdobione złotem, które poczerniały od ognia. Usiadłam przy nim i wydmuchałam nos. Na chusteczce została plama sadzy.

– Jonasz, proszę...

– Nawet nie zaczynaj – przerwał. Odepchnął mnie tak mocno, że upadłam. – Nie próbuj przeszkadzać. Widzę przez ciebie i... Ty nie masz w ogóle pojęcia, co ja... Co się we mnie dzieje!

Zobaczyłam twarz mamy w lustrze w przedpokoju. Mama przekradła się tam na bosaka i chwyciła telefon pod pachę. Kiedy dostrzegła moje spojrzenie, położyła palec na ustach.

Trudno mi sobie przypomnieć, co się potem stało.

Kiedy próbuję o tym myśleć, nie jestem pewna, czy przypomina mi się tamten wieczór, czy może jakiś inny. A może coś, czego się bałam albo co wymyśliłam później.

Oto, co pamiętam:

Z sypialni słysząc niespokojną dyskusję rodziców, głos mamy staje się rzeczowy, kiedy wykręca numer alarmowy i zaczyna rozmawiać z kimś, kto odebrał. Jonasz pozwala mi się objąć. Jego włosy pachną świeżym powietrzem, sadzą i szamponem taty. Przy jego nodze leży anioł z jednym okiem. Widzę wypukłe odbicie całego pokoju w ocalałym szkle okularów. Trzaskają drzwi.

Znowu trzaśnięcie. Przed oczami wyrastają mi dwie pary nóg spowitych w granatową tkaninę. Jonasz wyrywa mi się z rąk. Zatykam uszy i chowam twarz w sofę. Czuję zapach kurzu i delikatną woń zwierzęcia. Krzyk Jonasza przewierca mi kręgosłup.

Przez szum w uszach dobiega mnie odgłos syreny alarmowej, podnoszę wzrok i widzę sznur lampek na poręczy balkonu. Niebieski blask syreny przecina światło białych szklanych płomyków. Kiedy się podnoszę i przyciskam twarz do szyby, widzę, jak w ciemności bożonarodzeniowej nocy znikają strumienie tylnych świateł karetki i wozu policyjnego.

Nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy z tatą i mamą. Może przeprowadziliśmy rzeczową dyskusję, w której była mowa o trudnościach i leczeniu, i o tym, jak to nikt z nas w porę nie zauważył. Może któreś z nas wypowiedziało słowa „szpital psychiatryczny”. Może położyliśmy się

spać, każde z osobna, niezdolni do rozmowy ani nawet spoglądania po sobie.

Kiedy noc zaczęła przechodzić w świt, prześlizgnęłam się do pokoju Jonasza, opatuliłam jego narzutą i zwinęłam się na parapecie.

Nie myślałam o nim. Nie myślałam o jego krzyku w drzwiach, o skrzyżowanych ramionach ani o samochodach wyjeżdżających z piskiem z podwórza. Przycisnęłam czoło do szyby i przypomniały mi się święta sprzed wielu lat. Z czasów, kiedy każde Boże Narodzenie miało swój czar. Otoczyłam kolana rękoma i zobaczyłam kościół oświetlony lampkami, stare kobiety poprawiające w padającym śniegu mokre kapelusze z norek, tatę, który stoi przed ołtarzem, wysoki i biały jak anioł, i nas we frontowej ławce kościelnej, mamę, siebie i Jonasza.

Jesteśmy mali, a mama zapakowała nam kolorowanki. Siedzimy na piętach i wypełniamy kredkami miejsca między czarnymi konturami. Jonasz opiera głowę o moje czoło, jego włosy łaskoczą mi skronie. Koloruje kosmonautę, który wchodzi na powierzchnię Księżyca, a ja pasteczkę ubraną w sukienkę z falbankami, która opiera się o kij z zaokrąglonym końcem.

Tata zaczyna mówić. Podnoszę wzrok znad pasteczek i słucham. Koło mnie siedzi stara kobieta, której dłonie są pomarszczone jak bibułka. Przyszła do kościoła sama, zatrzymywała się na każdym stopniu, by odetchnąć, i trzymała się poręczy obiema rękami. Wargi kobiety poruszają się w tym samym rytmie, co słowa taty.

– Narodziny Jezusa to święto łaski – mówi tata. – Święto, w którym nasze grzechy zostają odpuszczone.

Mrugam i widzę na ścianach Jezusa w mieniącym się świetle. Ma czerwone policzki i pomarszczone czoło, a w pulchnych rękach trzyma łaskę.

Łaska jest okrągła i ma kolor miedzi. Wygląda tak samo jak lampa w przedpokoju babci, która się świeci przez całą noc wtedy, kiedy tam śpię i boję się koszmarów. Na powierzchni łaski są otwory w kształcie gwiazd oraz zielone, żółte i fioletowe szybki, przez które sączy się światło w kształcie gwiazd.

Kiedy wychodzimy z kościoła, tata bierze mnie i Jonasza za ręce. Płatki śniegu kołyszą się w nieruchomym powietrzu. Gdyby się zatrzymać i spojrzeć w niebo, można by prawie do nich dolecieć.

– Chodźcie! – woła tata. – Elfy z kosmosu atakują! Musimy uratować świat!

Wyciągamy języki, żeby powstrzymać elfy. Tata trzyma nas za ręce, a my wirujemy razem z płatkami, mamy zimne krople na językach i nagle, jestem tego pewna, zamiast płatka śniegu połykam gwiazdę.

Przyciskałam twarz do kolan i pamiętałam tamte święta tak boleśnie, że to musiała być prawda. Pragnęłam, aby Jonasz pamiętał to samo.



Nigdy nie umiałam jej sobie wyobrazić. Miłości, która jest tak niepodważalna, że mogę być zapłakana i rozbita, a mimo to pewna, że ktoś będzie mnie trzymał i chciał, bym następnego dnia obudziła się przy nim.

Moje związki opierały się na opiece i rozpacz. Z językiem na brodzie goniłam za narkomanami, którzy przerwali detoks, za złodziejami samochodów oczekującymi na odsiadkę i za alkoholikami marzącymi o rewolucji. Byłam w ustawicznej gotowości bojowej, skora do spłacania starych długów albo poszukiwania torebki z amfetaminą ukrytej w regale z książkami. Kochałam poczucie zagrożenia i chwile, kiedy mogłam trzymać w ramionach mężczyznę prześladowanego przez narkotykowych wierzycieli albo przez policję, gładzić jego przestraszoną twarz i powtarzać, że na pewno damy sobie radę. Kochałam noce trwające dwadzieścia cztery godziny, kiedy po bójce, seksie i trawie mogłam wysłuchiwać historii o samotności, dołach i próbach samobójczych, a na końcu słów, o których marzyłam od dziecka: „Bez ciebie nie dałbym rady nawet spróbować”.

Im bardziej ubłocony człowiek spał w moim łóżku, tym bardziej czułam się czysta. Mogłam myśleć, że reprezentuję świat świeżego powietrza i spacerów, zdrowych śniadań i nadziei, że w którymś momencie wszystko się ułoży. W tych rzadkich wypadkach, kiedy

próbowałam spotykać się z mężczyznami, którzy mieli grono ułożonych przyjaciół i plany na przyszłość, czułam swoją postronność i strach, że się wyda. Wiedziałam, że jest tylko kwestią czasu, kiedy ten człowiek mnie przejrzy. Zobaczy rodzinę, która nigdy nie będzie zdolna do wspólnego spędzenia udanego wieczoru z jego rodziną, i ciemny wiatr, który w każdej chwili może mnie porwać w chaos.

Ian sprawił, że po raz pierwszy pozwoliłam sobie na bezradność i mogłam przeżyć te wszystkie uczucia, które tłamsiłam w sobie podczas długich wieczorów, kiedy leżałam w łóżku, wbijałam paznokcie w dłoń i przysłuchiwałam się przez ścianę coraz donośniejszym głosom taty i Jonasza. Dlatego byłam gotowa zrobić dla niego wszystko.

Była noc, a Ian bawił się na imprezie wydziału literaturoznawstwa. Często po czymś takim wracał dopiero rano. Szedł z pracownikami naukowymi do następnej knajpy i przysłuchiwał się, gdy ktoś włączał stare piosenki taistończyków, [Taistończycy (fin. Taistolaiset) – odłam fińskiej Partii Komunistycznej, nazywany tak od imienia przywódcy Taisto Sinisalo (przyp. tłum.).] a inni próbowali przetłumaczyć mu ich teksty na angielski.

Tym razem wrócił do domu wcześniej niż zwykle.

Wychodziłam ze śmieciami i wpadłam na niego przy drzwiach wejściowych. Stał w miejscu, milczał, trzymając się futryny. Miał zaczerwienione oczy, a na kołnierzu

kurtki ślady zaschniętych wymiocin. Kiedy do niego podeszłam, wyciągnął dłoń, jakby się witał z kimś obcym.

– Przykro mi – powiedział. – Strasznie, strasznie mi przykro.

Zaprowadziłam go do domu i zdjęłam mu kurtkę. Upadł na dywan w przedpokoju. Z jego dolnej wargi sączyła się krew. Zdjęłam mu buty i szalik, dźwignęłam pod pachy i zawlokłam do sypialni, Ian siedział na brzegu łóżka i milczał, kiedy usuwałam mu wymiociny z kącików ust i szyi, zdejmowałam koszulę i spodnie i go przykrywałam. Pozwolił mi robić wszystko, jakbym była lekarzem albo pielęgniarką, dotykającą go służbowo, jakbyśmy podpisali milczącą umowę, że właściwie nie jest to jego ciało, a ręka, która go dotyka, nie należy do nikogo.

– Co się stało? – zapytałam.

Ian poprosił o wodę. Przyniosłam stary blaszany kubek, przywieziony z domu, podtrzymałam mu głowę i poiłam jak dziecko.

Kiedy pomyślałam, że już zasnął i omal sama nie usnęłam, na siedząco, z pustym kubkiem w dłoni, Ian otworzył oczy. Zaczął mówić o zimnej nocy dawno temu, o światłach miasta i o chłopcu, który nagle wydał mi się rzeczywisty.

– Po tym, jak ojciec wrócił z wojny, próbowałem stać się niewidzialny. Ojciec miał halucynacje, a matka była wykończona. Próbowałem jej pomagać w pracach domowych i być wesóły. Żeby się tylko nie martwiła.

Przez cały czas coś ścisnęło mnie za szyję.

Pewnej nocy ojciec krzychał. Mama wyslizgnęła się z łóżka, żeby dać mu trochę wody. Leżałem z zamkniętymi oczami i słuchałem głosów z sąsiedniego pokoju. Próbowałem sobie przypomnieć, jak to było, zanim ojciec wyjechał na wojnę. Czy zdarzały się wtedy chwile, kiedy nikt nie był zaniepokojony albo się niczym nie martwił? Nie pamiętałem. Nadal nie pamiętam, jak wtedy wyglądało nasze życie.

W pokoju brakowało tlenu. Otworzyłem okno i oddychałem nocnym powietrzem, ale mimo to czułem, że się duszę. Postanowiłem wspiąć się na dach.

Była mglista noc, niebo pełne świateł miasta.

Kiedy położyłem się na plecach i zamknąłem oczy, światła przemieniły się w ruchome obręcze. Nagle obręcze zatrzymały się. Nie otwierałem oczu. Obręcz, która uciskała mi szyję, zelżała i...

– I co?

– Nic. Do diabła, ale to głupio brzmi.

– I co?

– I powietrze wpłynęło do środka.

– Ian milczał przez chwilę, wziął mnie za rękę i zaczął rysować zawijasy we wnętrzu mojej dłoni.

– Pierwszy raz poczułem, że po prostu jestem. Bez ciągłej świadomości samego siebie. Przestałem myśleć.

Jego paznokcie łaskotały mi skórę dłoni.

– Później już nigdy nie osiągnąłem takiego stanu – dodał cicho. – Ale z tamtej chwili zrodził się mój dom. Za

każdym razem, kiedy czułem się odcięty, wspinałem się na dach i przywoływałem sobie w pamięci tamto uczucie.

– Nawet jako dorosły?

– Do czasu, aż wyjechałem z Nowego Jorku.

Uniósł głowę i patrzył na mnie, jakby nie był pewien, kim jestem i dlaczego leży w moich ramionach, dlaczego ma mokre policzki i oddech śmierdzący wymiocinami. Chciałam ofiarować mu miejsce, w którym mógłby doświadczyć tego samego uczucia co wtedy.

Spróbował wody i potrząsnął głową, kiedy usiłowałam go o coś spytać. A potem zaczął, powoli i z przerwami, opowiadać, jak było w Nowym Jorku już po atakach terrorystycznych.

– Tamte dni – mówił – tamte dni i tygodnie, Boże, co to był za smutek. Byłem przepełniony smutkiem.

Chodził samotnie po mieście, które wydawało się jak ze snu albo z filmu – z tych niezliczonych filmów, w których Ameryce grozi jakieś nieznane niebezpieczeństwo i wszystkich ratuje mężczyzna z błyszczącymi bicepsami. Chodził po mieście i czuł wszechobecne poczucie jedności, które zrodziło się po atakach i sprawiało, że ludzie uśmiechali się do siebie cieplej niż kiedyś, łatwiej się dotykali i dłużej słuchali.

Ian spotykał się z przyjaciółmi, których krewni albo małżonkowie zginęli w atakach. Pił z nimi kawę i wino, trzymał za ręce, pozwalał, by po jego koszuli spływały łzy, i milczał, dopóki ktoś inny chciał mówić.

Spotkał się z matką, która wyprowadziła się z Michaelem z Nowego Jorku do dużego domu na przedmieściach, gdzie rosły kasztanowce, a wypielegnowane trawniki otoczone były wysokimi murami. Matka była ubrana w marynarkę w kratę i miała kolczyki z prawdziwych pereł, pocałowała Iana w oba policzki i przypomniała, że przed jedzeniem należy umyć ręce. Michael miał na sobie ciemnoszary garnitur i różową koszulę. Nalał matce białego wina, a Ianowi i sobie whisky, i zacytował bezwiednie słowa prezydenta.

Spotkał się z ojcem. Na oddziale psychiatrycznym domu opieki dla weteranów wojennych zobaczył mężczyznę z głosem schrypniętym od papierosów, w szpitalnym szlafroku, pod który zapomniał założyć majtki. Zobaczył zgarbionego mężczyznę, którego pielęgniarka uprzejmie odprowadziła do pokoju, żeby się ubrał, który dostał klapsa, bo próbował uszczypnąć ją w udo, który kaszlał i przeklinał, i wybuchał płaczem, i nie miał najmniejszego pojęcia, kto do niego przyszedł.

– Jest pan bardzo uprzejmy – powiedział, kiedy Ian zaczesał mu włosy w taką samą falę jak na zdjęciach z młodości i obciął długie paznokcie. – Gdyby tak mógł pan zostać dłużej.

Szli wzdłuż korytarza do pokoju z telewizorem, dłoń ojca opierała się mocno na ramieniu Iana.

– Musimy uratować świat – powiedział.

Siedzieli w pokoju z telewizorem wśród innych mężczyzn ubranych w szlafroki i kapcie; oglądali

prezydenta, który w hełmie strażackim i wiatrówce stał pośród gruzów wieżowca i wygłaszał słowa otuchy.

– Gówno. Lepiej już by plunął w sufit i poczekał, aż mu charch spadnie na twarz. Ale tak to jest. Ktoś musi iść w pierwszym szeregu.

Ian spojrzał na ojca.

– Naprawdę? – zapytał i uściśnął jego zgrubiałą dłoń.

– Tak właśnie myślałeś, kiedy jechałeś do Wietnamu?

Ojciec długo milczał. Potem cofnął rękę i popatrzył na Iana mętłym wzrokiem.

– Buch, buch. Bach, bach. Gówniany wybuch i znów odpada głowa – podśpiewywał, celując w Iana palcem wskazującym wyciągniętym jak pistolet. – Bach, bach, sranie w banię, bach, bach, leci gówno, całe gówno wybucha.

Ian zaprowadził ojca z powrotem do pokoju, przeczytał mu kolumnę z dowcipami i horoskop w gazecie i przykrył go kołdrą.

– Przyjemnie się rozmawiało – powiedział ojciec, kiedy Ian zapinał kurtkę w drzwiach. – Naprawdę przyjemnie się z panem rozmawiało, młody człowieku.

Ian pokiwał głową, pomachał mu ręką i zniknął, na poły biegnąc, w zimnym, oświetlonym neonami nowojorskim wieczorze.

– To takie głupie – powtórzył Ian. Dotykał ustami mojego uda i ciepło oddechu łaskotało moją skórę. – Wydaje mi się, że dopiero wtedy zrozumiałem, że ojciec

już nie wyzdrowieje. Do tego czasu jakoś sobie wyobrażałem, że...

– Że zdołasz go uratować?

– Tak. A potem... Potem pojąłem, że to nie to. Że on już nigdy mnie sobie nie przypomni. I tamtego wieczoru...

– Tamtego wieczoru...

– Zrozumiałem, że już nie ma... Żadnego miejsca.

Ian odwrócił się do mnie plecami i zwinął na łóżku, z nogami podkurczonymi do piersi i rękoma skrzyżowanymi na udach. Mój Ian. Mądry, wyważony Ian, który zaprowadził mnie do świata, gdzie można mieć doła i koszmary, i wiadomo, że gdzieś czeka dłoń gotowa do otarcia łez, która obudzi w nocy i zaprowadzi do okna, żeby pokazać, jak księżyc oświecła przeciwległy budynek i kawałek ulicy.

Mój Ian trząsł się i płakał jak dziecko, a ja nie potrafiłam uczynić nic innego niż tylko trzymać go za rękę tak długo, aż zdretniały mi ramiona i kark zaczął boleć przy poruszeniu głowy.



*Panie dozorczo*

*Piszę, aby sprostować pogłoski, jakoby próbował podpalić komórkę na rowery w naszym budynku. Na mój temat krążą najróżniejsze plotki i nie zawsze jest to fajne. Ale tamtego wieczoru byłem gdzie indziej i mama może to poświadczyć.*

*Zamiast tego wolałbym, żeby zwrócił Pan uwagę na to, jak zachowują się dzieci z podwórza (które, jak mniemam, stoją za tą plotką): one się nigdy nie kłaniają (choć ja zawsze uprzejmie się z nimi witam, tak jak ze wszystkimi innymi mieszkańcami budynku, moim zdaniem to poprawia nastrój)!*

*Za to jak przechodzę, gapią się na mnie i zaczynają chichotać. To nieprzyjemne, zwłaszcza że NIE zrobiłem im nic złego. W poprzednim tygodniu przyszły chichotać w nocy pod moje drzwi, a wczoraj jedno z nich przekradło się do mnie przez okno i przez całą noc stało przy moim łóżku i się na mnie gapiło.*

*Czy to jest Pana zdaniem w porządku?*

*Z poważaniem oczekując na szybkie przedsięwzięcie środków zaradczych*

*Jonasz Louhiniitty*

– Czy chciałaby pani coś jeszcze?

Kelnerka stuka w blat stołu i uprzytamniam sobie, że musiała tu stać już długo, trzyma w ręce popielniczkę pełną niedopałków i zerka kątem oka na mężczyznę przy sąsiednim stoliku, który prosi gestem o rachunek. Chciałabym. Chciałabym wiedzieć, w którym momencie straciłam Jonasza. Kiedy przestałam chodzić do domu i odbierać jego telefony? Kiedy przestałam wierzyć, że coś się zmieni? Kiedy postanowiłam zacząć żyć tak, jakby go nigdy nie było?

– Tak?

– Przepraszam. Campari z lodem.

Tego wrześniowego dnia, kiedy samoloty uderzyły w nowojorskie wieżowce i zginęło ponad trzy tysiące osób, odebrałam telefon od Jonasza.

Spędził u mnie poprzedni wieczór. Usmażyłam naleśniki i pomogłam mu napisać ogłoszenie do serwisu randkowego. *Wrażliwy, nieśmiały, samotny mężczyzna poszukuje wyrozumiałej kobiety. Nie najlepiej czuję się w lokalach, ale zrozumiem, jeśli ty lubisz się bawić. Marzę o rodzinie i zwykłym życiu.* Jonasz miał na sobie drogie ubrania i przyjmował nowe leki, po których twarz mu nie puchła ani nie plątał mu się język. Gdy wysyłałam ogłoszenie, byłam niemal w stanie wyobrazić sobie

kobietę, która zakocha się w nim jak w kimkolwiek i z którą Jonasz odważy się wreszcie wyprowadzić z domu. Mogłam sobie wyobrazić jego rodzinę i zwykłe życie.

Rano, czekając na tramwaj, opowiadałam sobie historie o Jonaszu, który wstawał z łóżka, wychodził do sklepu i jechał tramwajem, nie pocąc się, a przy nim nie zostawało puste miejsce. Ten Jonasz miał uczesane włosy i czyste zęby, i żonę, która rozmawia z nim o polityce, wierszach i budowie wszechświata.

Tego wrześniowego dnia, kiedy Jonasz mówił przez telefon głosem pełnym paniki, kiedy wybiegłam z wykładu z otwartym plecakiem i zatrzymałam taksówkę, tego dnia jeszcze wierzyłam, że ten Jonasz gdzieś na nas wszystkich czekał.

Na ulicy Mannerheimintie taksówka zatrzymała się na światłach. W witrynie pobliskiego sklepu stały duże telewizory.

– Niech pani spojrzy – odezwał się kierowca. Samolot z ekranu uderzył w wieżowiec. Niebo po wybuchu zrobiło się żółte i szare.

– Reklama amerykańskiego filmu – powiedziałam. – Uwaga, zielone.

Taksówkarz nastawił radio. Męski głos mówił o samolotach i wieżowcach, liczba ofiar nie jest jeszcze znana. Zobaczyłam w lusterku, że kierowca unosi brwi. Za oknem migotały pożółkłe drzewa, wieża stadionu i światła diabelskiego młyna. Taksówkarz powtarzał: do diabła, jasny gwint, niemożliwe. Przygryzłam wargi. „Zamknij się

– chciałam powiedzieć. – Wyłącz to pierdolone radio, skoncentruj się na drodze i zawieź mnie do Jonasza".

Jonasz siedział na podłodze w przedpokoju. Był ubrany w pasiasty szlafrok, miał tłuste włosy. Obok leżała przewrócona filiżanka z kawą, a dookoła wały się odłamki lustra.

Lustro było bez skazy i bez ram, zajmowało prawie całą ścianę. Odbite w nim mieszkanie wydawało się wielkie, a wąski przedpokój zamieniał się w przestronny hall. Kiedy Jonasz był mały, wygłaszał przed nim przemowy, a ja za jego plecami wkładałam mu ręce pod ramiona. Byliśmy Chaplinem, piosenkarką Katri Heleną i prezydentem Kekkonenem. Jonasz zakładał okulary taty, robił sobie łysinę, wciskając na głowę dziurawą piłkę koszykową i mówił w dwóch językach:

– Obywatele, *medborgare*.

Teraz odłamki lustra leżały na podłodze, a z rąk Jonasza spływała krew.

– Oni spadali – powiedział. – Spadali i umierali, i nikt im nie mógł pomóc.

Przyniosłam z kuchni szufelkę i miotłę, wrzuciłam odłamki lustra do śmieci i oczyściłam mu rany. Miejsca, z których leciała krew, zatkałam papierem toaletowym zwiniętym w ruloniki, Jonasz zarzucił mi obie ręce na szyję i uściskał.

Kiedy jechaliśmy taksówką do szpitala, zaczął opowiadać o mężczyźnie. Położył rękę na moim udzie,

a jego krew spływała mi na nogi przez chusteczkę, plaster i dzinsy. Męski głos w radiu mówił o samolotach, WTC, prezydencie, służbach ratowniczych i tysiącach zmarłych i stopniowo zaczęło do mnie docierać, że również poza naszym domem naprawdę wydarzyło się coś okropnego.

Kierowca ściszył radio, kiedy Jonasz zaczął mówić o mężczyźnie. Ścisnęłam go za rękę, żeby mówił ciszej albo poczekał jeszcze chwilę, aż zostaniemy we dwoje. Nie poczekał. Głośno i beznamiętnie opowiadał o mężczyźnie, który patrzył na niego z lustra w przedpokoju. Miał wąską twarz i smutne spojrzenie, jego oczy przewiercały Jonasza na wskroś. Te oczy nie dawały mu spokoju, chociaż Jonasz się odwrócił i zniszczył lustro. Nie dawały mu spokoju również teraz, tylko wpatrywały się w niego z lusterka taksówki i z niewyraźnego odbicia w szybie.

– To przejdzie – powiedziałam i pogłaskałam go po rękę. – To przejdzie dzięki lekarstwom i wszystko będzie znowu w porządku.

Jonasz potrząsnął głową.

– Nie przejdzie. Nie chcę, żeby przeszło.

– Co?

Zdawał się nie słyszeć mojego gniewnego tonu. Przemawiał dalej, monotonicznie, zwracając się do wszystkich i do nikogo zarazem.

– Nie chcę, żeby to przeszło. Ja dopiero teraz zacząłem rozumieć, kim jestem.

Spojrzałam na Jonasza. Był nieogolony, żeby pokrywał mu żółty nalot. Na twarzy miał zadrapania od

odłamków szkła. Spod szlafroka dochodził mnie zapach niemytej skóry. Nagle odniosłam wrażenie, że widzę go po raz pierwszy.

Zdanie przewiercało mi umysł, jakbym usłyszała je w radiu: *Jej brat jest chory psychicznie. Oparłam czoło o szybę taksówki. Ona wiezie brata do szpitala. Ona. Ja.*

Próbowałam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz naprawdę widziałam Jonasza. Pamiętałam tylko jego twarz, gdy był dzieckiem, poważne spojrzenie i czerwień, która plamami zabarwiała mu policzki zawsze, ilekroć się czymś ekscytował. Tamtego wrześniowego dnia, w taksówce pędzącej w stronę szpitala na tyłach parku, przestałam widzieć w nim małego chłopca, na którego gdzieś czekały dorosłość i przyszłość. Tamtego dnia zobaczyłam go po raz pierwszy jako mężczyznę z brudną brodą i skórą wydzielającą zapach choroby. W tej samej chwili zobaczyłam siebie – kobietę, której całemu życiu groziło, że zginie w wydzielającym zapach choroby świecie tego mężczyzny.

Taksówka zatrzymuje się na światłach na skraju parku. Kobieta rozdrapuje spierzchnięte miejsce na wargach. Patrzy w szybę: drzewa i ławki są na swoim miejscu, ludzie w parku i dzieci, które kręcą się raz za razem na karuzeli, rozpędzanej małutkimi pedałami. Kobieta milczy, ale po oczach widać, że coś w jej wnętrzu, coś, co próbowała chronić przed wszelkim złem, właśnie umiera.

Resztę drogi przejechaliśmy w milczeniu. Ciepła krew Jonasza sprawiła, że poczułam skurcz w żołądku.

Otworzyłam okno, by pooddychać świeżym powietrzem.  
Zobaczyłam na przystanku autobusowym kobietę, która  
płacząc, rozmawiała po angielsku przez komórkę.

*Hej „Ptaku Wodny”!*

*Znowu włączyłem komputer spocony z wrażenia.*

*Czy jest tam już wiadomość od Ciebie? Rozumiem, że najwidoczniej muszę przestać wierzyć, że jeszcze mi odpowiesz.*

*Najwidoczniej popełniłem błąd, kiedy Ci opowiedziałem o swojej chorobie. (?)*

*Wydawałaś się taka inna niż reszta: głębsza i wrażliwsza. Kiedy napisałaś, że sprawy zewnętrzne nie są najważniejsze, a najważniejsze jest wewnątrz człowieka, poczułem ciepło: pomyślałem, że Ty rozumiałabyś również moje wewnątrz.*

*Najwidoczniej się pomyliłem i teraz to rozumiem: jesteś taka sama jak wszystkie inne kobiety. Dlatego już nigdy nikomu nie zaufam.*

*Głęboko zraniony*

**J**



Na ekranie komórki mruga KOCHANIE. Dzwoni Ian. WYCISZ. Nie dam rady teraz rozmawiać.

Na zewnątrz jest zmierzch i ludzie wracają z pracy do domów. Na stole okładką do góry leży powieść, obok jest pełna popielniczka i plama po filiżance z kawą. Liczę wypalone pety. Dwanaście. Wypaliłam dwanaście papierosów, ale nie przeczytałam ani jednej strony książki. Nie wyjęłam z torby dyktafonu ani nie spisałam wywiadu z młodą posłanką, chociaż tekst ma być gotowy za dwa dni. Nie poszłam do szpitala. Nie licząc mamy i kelnerki, z nikim nie rozmawiałam.

Przez cały dzień siedziałam w kawiarniach i patrzyłam przez brudne szyby, jak inni biegną do autobusów i tramwajów, żeby zdążyć do pracy, i jak biegną teraz, żeby zdążyć do domu albo dokądkolwiek, gdzie ktoś na nich czeka i odrywa ich od obowiązków do innego świata i czasu, do tego, co pozostawi w ich umysłach ślad głębszy niż dzień pracy. Patrzyłam na biegnących o twarzach zmęczonych, podekscytowanych i przestraszonych, oraz na tych, którzy poruszają się bez pośpiechu, ze wzrokiem wbitym w ziemię albo zapatrzeni daleko przed siebie, idą brzegiem ulicy, jak gdyby chcieli się wtopić w ściany z kamienia.

Czas po drugiej stronie szyby poruszał się naprzód, odbywały się zebrania i lunche, i przerwy, i spotkania. Mój

czas przez cały dzień ani drgnął. Mój czas to wyschnięta plama po kawie na stole, tusz rozmazany na policzku i impuls, który zniknął z ekranu komórki. Tchnienie, w którym jasny poranek zamienił się w ciężar popołudnia. Chwila, podczas której stygnie filiżanka kawy i wspomnienia sprzed lat orzą mi świadomość. Miasto, gdzie w ciągu nocy powódź zalała podłogi domów, a ludzie chodzą ulicami po łydki w wodzie, niosąc na głowach tobołki; czyste spodnie i drogą wiertarkę, świadectwo ukończenia kursu języka angielskiego, adres bogatego krewnego mieszkającego gdzieś daleko. Z twarzami bez wyrazu ściskają tobołki i kierują się naprzód, nie wiedząc, gdzie i jak ich życie może się dalej potoczyć.

Straciłam kontrolę nad czasem i przez cały dzień nie udało mi się nic zrobić.

Widzę, jak redaktorka naczelna gazety stuka nerwowo palcami, czekając na tekst, którego nigdy nie napiszę. Jak próbuje do mnie zadzwonić, uszy jej płoną, mój telefon nie reaguje i w końcu redaktorka zatrudnia kogoś innego, kogoś lepszego i bardziej godnego zaufania, kto napisze ten sam tekst w krótkim czasie.

Widzę, jak kasuje moje nazwisko z listy współpracowników i wysyła maila do ludzi z branży. *Anna Louhiniitty to niegodna zaufania i nieprzewidywalna dziennikarka. Nigdy nie zamawiajcie u niej tekstów.*

Widzę, jak Ian wraca z uniwersytetu do pustego mieszkania, siedzi przez chwilę przy oknie i w końcu

pakuje swoje rzeczy.

Jak przyjaciele po miesiącach albo już po tygodniach wzruszają ramionami i kasują moje imię i numer z pamięci telefonu.

Jak informacje o moim koncercie zostają usunięte z bankowych komputerów, a moje nazwisko i numer ubezpieczenia sprzedają nielegalnemu emigrantowi.

Jak Jonasz pewnego dnia, po iluśtam latach, podnosi się na szpitalnym łóżku i mówi:

– Moja siostra. Dlaczego moja siostra już się o mnie nie troszczy?

Przechodząca obok pielęgniarka marszczy brwi, odwraca się i spieszy do gabinetu lekarza. Lekarz podnosi wzrok i pyta:

– Znowu? Pielęgniarka kiwa głową.

– Znowu.

Dwóch pielęgniarzy przytrzymuje Jonasza z obu stron, pielęgniarka ściąga mu szpitalne spodnie i wkłada w pośladki najsilniejszy z możliwych lek antypsychotyczny. Po zastrzyku Jonasz krzyczy, ale pielęgniarka bierze jego głowę w ramiona i głaszcze ją tak, jak ja głaskałam.

– Anna! – krzyczy Jonasz, a pielęgniarka kładzie jego głowę na poduszce, zamyka oczy ruchem dłoni i radzi się przespać.

– Dostałeś lekarstwo na sen – szepcze, głaszcząc Jonasza po włosach. – Śpij spokojnie. Jak się obudzisz, przypomnisz sobie, że nigdy nie miałeś siostry.

## 21

- Idziemy? – zapytał Ian.
- Ty zdecyduj.
- Chcesz pójść.
- A ty nie chcesz?

Było przedwiośnie, niedziela, i spaliśmy do późna. Słońce rozlewało się kwadratami po podłodze, a w radiu przygrywał senny jazz. Siedzieliśmy przy kuchennym stole i czytaliśmy gazetę. Pisano o przygotowaniach wojennych trwających w najlepsze i o manifestacji, która miała się dzisiaj odbyć. Ludzie na całym świecie wyjdą na ulice, by zaprotestować przeciwko wojnie. Wezmą ze sobą megafony i transparenty i będą wykrzykiwać hasła.

Prawdopodobnie będzie większa i bardziej widoczna niż dawniejsze manifestacje. Większa niż marsze pokoju, w których od lat nie uczestniczył nikt poza garstką podstarzałych hipisów i młodych aktywistów. Zdecydowanie większa niż demonstracje przeciw testom na zwierzętach i globalizacji, które za każdym razem gromadziły na ulicach Helsinek tej samej wielkości chmarę ludzi ubranych w takie same amerykańskie kurtki wojskowe, czapki i ciężkie buty. Wątpliwe, by była równie szalona i gorąca jak międzynarodowe manifestacje w miastach, gdzie zbierali się najważniejsi przywódcy światowi, by podejmować decyzje, i gdzie policjanci osłaniali głowy hełmami kuloodpornymi, a niektórzy

z manifestantów trzymali w rękach kamienie. Ale niewykluczone, że będzie wyglądać tak jak dawne demonstracje, z czasów, gdy Ian kołysał się w nosidełku na plecach swojej matki.

– Nie jestem pewien – powiedział. – Trochę się boję.

Zamknęłam gazetę, Ian miał w kącikach ust okruszki po croissancie, a na policzku grudkę zeschniętego dżemu. Spuścił wzrok i zaczął wydrapywać skórkę paznokci prawej dłoni. Z boku paznokcia sączyła się krew. Przynęłam krzesło i go przytuliłam.

– Co?

– Nie będziesz zła?

– Zła?

Ian wytarł dżem z kącika ust i patrząc przeze mnie na framugę drzwi albo w ścianę, zaczął opowiadać o imprezie wydziału literaturoznawstwa, z której wrócił do domu z krwią na wargach i wymiocinami na kołnierzu.

Chłopak był jego ulubionym studentem, Ian myślał, że za jego zarozumiałstwem dostrzega przebłysk tej samej odrębności, której on sam zawsze doświadczał. Myślał, że widzi w chłopaku coś, co wymaga szczególnej zachęty i troski, szczególnych starań, by to wydobyć.

Na imprezie chłopak dosiadł się do Iana, zamówił piwo i brandy. Był pijany i bardziej milczący niż zwykle, Ian mówił obojętne rzeczy o studiach i o zwycięzcy gazetowego konkursu na opowiadanie. Chłopak milczał, Ian wciąż pił i mówił coraz szybciej i więcej, nie umiejąc

przerwać, chociaż nie zamierzał nic powiedzieć.

W końcu chłopak się podniósł.

– Nie wstyd ci? – zapytał.

– Proszę?

– Nie wstyd ci? Siedzisz tutaj i pieprzysz bzdury, chociaż twój kraj chce zrównać z ziemią cały świat?

Chłopak mówił głośno i ludzie przy sąsiednim stoliku odwrócili się, by popatrzeć na Iana. Ian otworzył usta. Właśnie czegoś takiego się spodziewał.

Kiedy siedział chory z filiżanką kawy w ręce i kocem na szyi, oglądając w telewizji wieżowce wciąż na nowo rozpadające się w pył, ta myśl musnęła jego umysł jako pierwsza, pojawiła się, nim dotarł do niego wstrząs, przerażenie, trwoga i smutek. Myśl zrodziła się natychmiast, kiedy włączył telewizor i zrozumiał, co się stało. Uporządkowała się w jego głowie jak tekst na ekranie, zanim jeszcze zdążył na dobre przetrwać to, co widzi. *Wszyscy nas znienawidzą. America at War. Znienawidzą nas.*

*Wszyscy nas znienawidzą.* Zdanie krążyło mu w głowie, kiedy biegł po ulicach w na pół rozpiętej kurtce, zadyszany, nie wiedząc, dokąd pędzi. Wtedy gdy zatrzymał się na moście, by popatrzeć na ciemną wodę i światła odbijające się od jej powierzchni jak gwiazdy. Kiedy szedł do kiosku po kawę i zobaczył starą czarną kobietę, która wybucha płaczem, płacąc za gazetę, oraz sprzedawcę, jak wyjmuje spod lady butelkę koniaku,

kładzie kobiecie dłoń na ramieniu i nalewa jej lufę.

*Znienawidzą*, Ian badał tę myśl, czytając w gazetach niekończące się dywagacje o tym, jak dokonano zamachu. Wkrótce wiedział, kim byli sprawcy, jak dotarli do kraju i gdzie studiowali. Odczuwał pełen niechęci respekt pomieszany z zażenowaniem i przerażeniem na myśl o tym, jak długo potrafili żyć w Stanach, nie zdradzając nikomu swoich zamiarów. Jak rozmawiali ze znajomymi ze studiów, nauczycielami i sąsiadami, jak świętowali i kochali się z Amerykankami, wiedząc cały czas, że każda chwila spędzona w tym kraju była tylko odliczaniem do tego momentu, który wstrząśnie całym światem.

Wkrótce Ian wiedział o zamachu wszystko tak dokładnie, że zamienił się on w jego umyśle w film (pierwsze litery, które rozlewają się w krople krwi? Nie, zbyt patetyczne. Migawki postaci w szybkich kadrach, ujęcia zastygające w kluczowym momencie? Muzyka Rammsteina? Nie, gdzieś już ją wykorzystano), który odtwarzał mu się nieustannie, a on nie był w stanie go ogarnąć ani decydować, kiedy chce go oglądać. To go brzydziło. Brzydziło go, że wszyscy mówili *jak*, ale mało kto, przynajmniej publicznie, pytał *dlaczego?*

Kiedy jego ojczyzna zaczęła wysyłać oddziały do Afganistanu, Ian poczuł, że dusi się pod ciężarem pytań.

Nie uważał, że Ameryka nie powinna iść na wojnę. Jego zdaniem należało to zrobić dawno temu. Oburzało go, że świat przeczekał masowe mordy i gwałty, biczowanie jako karę za słuchanie muzyki lub zbyt mocne słowa, karę

odcinania kończyn i degradację kobiet. Że nic z *tego* nie skłoniło kogokolwiek do walki z talibami. Brzydziła go obłuda, z jaką Amerykanie formułowali przyczyny, i możliwe konsekwencje wojny, ale wszystko to mógł zrozumieć.

Iraku nie rozumiał. Nie był w stanie o tym myśleć ani znieść uczucia, że w jakiś sposób miałby być osobiście odpowiedzialny za to, co się tam wydarzy. Jak wojna zniszczy życia i dusze, i jak położy się cieniem na nadchodzące lata i dekady. W jak niedający się przewidzieć sposób zniszczy życie przyszłych pokoleń.

Z nikim nie potrafił o tym rozmawiać. W gronie Finów kończyło się zawsze na dyskusjach rozpoczynających się od słów: „Ja po prostu nie pojmuję, jak wy, Amerykanie...”, i Ian łapał się na tym, że musi usprawiedliwiać coś, czego sam nie rozumiał. Nie znosił tego, że wszyscy przychodzili do niego, by pytać, dlaczego, dlaczego Amerykanie są takimi idiotami, imperialistycznymi maniakami wojen, ale nikt nie zapytał, co on myśli i jak się z tym wszystkim czuje.

Patrzył na bladą twarz chłopaka, jego delikatną brodę i włosy pofarbowane na czerwono. Chłopak dopił brandy jednym haustem, Ian popijał wino.

Rozmowy wokół nich ucichły. Ludzie sączyli napoje, w mroku żarzyły się główki papierosów. Atmosfera zgęstniała od oczekiwania, które należało zasłonić ukradkowym zerkaniem, obojętnymi uwagami



i splataniem rąk. Czymkolwiek, co ukryłoby, że wszyscy czekali, co Ian teraz powie. I że w jakiś sposób owo pytanie oraz zrodzona przez nie cisza wyrzuciły ich na różne strony. Iana na jedną, gdzie musiał odpowiadać za politykę całego swojego kraju, a może też za coś innego, potężniejszego, a pozostałych na drugą, gdzie mogli smakować wino pod językiem i czekać.

Ian miał wielką chęć porozmawiać. Chciał dyskutować o ciężarze, jaki przygniótł go natychmiast po zamachach i sprawił, że z trudem oddychał i chodził. Chciał rozmawiać o historii, amerykańskiej tożsamości i niezadanych pytaniach. I o wieżowcach, których dachy rysowały na niebie złamany kontur. O kawiarni, w której w niedziele podawano grube naleśniki i świeże truskawki. O szaszłykach z ulicznej chińskiej kuchni i o bezzębnej kobiecie, która sprzedawała wiersze w parku. O zapachu czystej bielizny wylewającym się z pralni na ulice. O gęstych brodach ubranych na czarno Żydów i półgłuchym Rumunie, który jeździł samochodem z długim tyłem i nazywał go limuzyną. I o spojrzeniu, którym przeszywała go czarna kobieta sprzątająca klatkę schodową, spojrzeniu, na które nie umiał odpowiedzieć.

Chciał o tym wszystkim rozmawiać. I o tym, jak wieczorami, idąc ulicami Helsinek do domu i oddychając wonią moczu parującego w bramach, frytek i morza, mógł niemal wyczuć w tle zapachy innego, większego miasta.

Tak bardzo chciał rozmawiać, że miał ochotę wykrzyczeć to na cały głos, wyrzucić z dna brzucha rykiem

tak donośnym, by uszedł z niego cały ciężar, a głos mógł nareszcie popłynąć swobodnie. Ale chłopak wbił w niego spojrzenie wielkich, szarych oczu i powtórnie zapytał, bardziej zaczepnym głosem niż poprzednio:

– Nie wstyd ci, że twoja ojczyzna to kraj największych na świecie bandytów?

Dokuczliwa cisza przy stole zamieniła się w otwarte oczekiwanie, ale Ian nadal nie potrafił nic powiedzieć. Wstał, by napełnić sobie szklanę. Kiedy reszta sali patrzyła w inną stronę, wziął pod pachę karton z winem i wysliznął się na zewnątrz.

Niebo było pełne gwiazd, a gdy wydychał powietrze, z ust unosiła się para. Ian złożył szalik w kształt poduszki i usiadł na schodach. Podniósł karton, otworzył kranik i pozwolił winu wlewać się do ust. Pił długimi haustami, przetykał i bekał. Kiedy postawił na chwilę karton na ziemi, zobaczył pod powiekami bladą twarz chłopaka i jego chełpliwy uśmiech. Za tą twarzą pojawiła się druga i trzecia.

„Nie wstyd ci? – pytały usta. – Nie wstydzisz się, że masz grube okulary i obrzydliwie obcięte włosy i że nigdy nie pocałowała cię żadna dziewczyna? Nie wstydzisz się, że twój ojciec jest świrem, a matka się kurwi za narkotyki?”

Zasłonił oczy pięściami i próbował zmusić tamte twarze, by wróciły na szkolny korytarz albo w najciemniejsze kąty podwórza, albo do fabryk korniszonów, barów z hamburgerami i pod drzwi knajp,

gdzie było ich miejsce. Zaciskał pięściami oczy i próbował przepchnąć twarz z powrotem do czasu, którego nie chciał pamiętać. Ale nie znikwały, a rozbrzmiewające w nim słowa powróciły wypowiedziane jego własnym głosem: „Nie wstyd ci, że pozostawiłeś ojca samego w zakładzie, że nie masz nawet pojęcia, co się u niego dzieje? Nie wstyd ci, że zawiodłeś w jedynej sprawie, którą miałeś się zająć?”

Kiedy Ian otworzył oczy, zobaczył przed sobą bladą twarz.

– A więc tutaj przyszedłeś – powiedział chłopak.

Ian postawił wino na ziemi. Chłopak zaciskał w dłoni kulkę z rękawiczki.

– Przykro mi, jeśli cię uraziłem.

Ian wstał. Nadal widział przed sobą twarz. Wszystkie twarze. Wszystkie usta. Wszystkie chrapliwe głosy i jego własny, najdonośniejszy. Mały chłopiec z rękoma zaciśniętymi w pięści, który oskarża dorosłego siebie o to, że mu zniszczył całe życie. Poczul, że kręci mu się w głowie.

– Słyszysz mnie? Hej, co ci jest? Hej! Odepchnął chłopaka od siebie. Chłopak się zachwiał.

– Hej, przestań.

Kurewski głos. Kurewski uśmiech. Wszystkie te kurewskie głosy, Ian chwycił chłopaka za koszulkę. Zbliżył twarz do jego twarzy. Słowa nadeszły, jakby zdążył to wszystko przećwiczyć.

– Wstyd – powiedział. – Żebyś wiedział jak bardzo. Jest mi tak wstyd, że chciałbym zawiązać sobie sznur na

szy i powiesić się na tych drzwiach i żebyś to zobaczył, a ty... Ty nie masz pojęcia, o czym mówisz.

Nigdy przedtem nikogo nie uderzył. Nie zamierzał uderzyć. Nie był człowiekiem, który bije.

Ale to była jego ręka. Jego koścista, biała ręka uniosła się, nabrała rozpędu w powietrzu i plasnęła chłopaka w twarz.

Głowa odchyliła mu się do tyłu. Upłynęła chwila lodowatej ciszy. A potem chłopak roześmiał się z niedowierzaniem, wyswobodził z uścisku Iana i wybiegł w rozpiętej kurtce na śliską ulicę.

– Dlaczego nie opowiedziałeś mi wcześniej? – spytałam.

Ręka Iana drżała.

– Dlaczego nie opowiedziałeś od razu?

– Pewnie, że chciałem – powiedział, skubiąc gazetę. – Ale nie potrafiłem. No i w ogóle. Nie umiem wyjaśnić.

– Uszy mu poczerwieniały.

– Czuję się podobnie jak w dzieciństwie. Kiedy zsiakałem się w łóżko albo ukradłem gumę do żucia.

Wstałam, przyciągnęłam ku sobie głowę Iana i zaczęłam głaskać jego włosy, skronie, kark i plecy. Czuję na brzuchu ciepło jego oddechu. Chciałam go zmiąć we wnętrzu dłoni i ukryć, gdziekolwiek, gdzie mogłabym go chronić przed wszelkim złem. Odgarnęłam mu włosy z twarzy i całowałam czoło, powieki, policzki i usta.

– Kochanie – odezwałam się, zmuszając Iana, by na mnie spojrzał. – Ja kocham to dziecko, którym byłeś. Wszystko w nim kocham. I wszystko w tym, kim jesteś teraz.

Ian przeciągał powoli palcem po konturach mojej twarzy, jakby mnie malował.

– To chodźmy zademonstrować – powiedział.

*Ty pierdolona dziwko, nie rozumiesz, jakie masz łatwe życie?*

*Ja NIGDY nie mogłem sam podróżować. Ja NIGDY nie pojechałem na festiwal ani NIGDY nie miałem dziewczyny (gimnazjum się nie liczy).*

*Zrobiła się z ciebie taka sama popieprzona karierowiczka jak ze wszystkich innych i jak mi teraz nie odpowiesz, to nie chcę już NIGDY mieć z tobą do czynienia. Jak tak, to wcale nie będę mieć siostry i wszystko jedno, choćby cię zabili i zgwałcili i pokroili żywcem, mam to w głębokim poważaniu.*

*Spierdalaj*

*Jonasz*

Szliśmy za manifestantami.

Nieśli czarne flagi, na których namalowano białe znaki pokoju i żółto–czerwone transparenty z napisem: KONIEC ATAKÓW NA IRAK. Mężczyźni maszerujący na przodzie kopali w puste beczki po oleju, a samochód, który otwierał kolumnę, eksplodował czerwonymi lampkami na dachu.

Ian przymocował sobie na piersi znak pokoju zakupiony na pchlim targu, a ja przewiązałam szyję prastarą palestyńską chustą. Przed nami maszerowała grupa chłopców w amerykańskich kurtkach wojskowych i czapkach, którzy nieśli wielką czarną flagę. Na fladze było napisane: HUMILIATING GENERATIONS. THE AMERICAN WAY. Ian z powagą odczytał słowa, a ja zaczęłam gadać jak nakręcona, żeby przegonić cień z jego spojrzenia.

– Ale tu ludzi. Nie pamiętam, kiedy ostatnio zebrały się takie tłumy.

I:

– Spójrz na to dziecko. Ty też tak wyglądałeś na tamtej wietnamskiej manifestacji?

I:

– Hej, widziałeś tego chłopca, który miał czarną czapkę i wojskową kurtkę? Czy my go już gdzieś nie widzieliśmy?

I:

– Boże, jak zimno. Pójdziemy gdzieś potem na kakao?

I:

– Wiesz co, nie musimy tutaj być, jeśli nie chcesz.

Szliśmy opustoszałymi ulicami z dworca kolejowego do budynku ambasady Stanów Zjednoczonych i krzyczeliśmy jednym głosem: KONIEC ATAKÓW NA IRAK! Przed ambasadą było biało od śniegu i ślisko, a płot nie dawał demonstrantom podejść bliżej. Staliśmy po uda w śnieżnej brei i krzyczeliśmy tak głośno, jak mogliśmy. Chłopak z dreadami grał na afrykańskich bębnach, kobiety w średnim wieku tańczyły, trzymając się w pól i przez chwilę cała manifestacja wydawała się ważnym wydarzeniem i radosnym karnawałem zarazem, dzięki któremu rzeczywiście można coś osiągnąć.

Nie zauważyłam go, aż pojawił się tak blisko, że nie mogliśmy się już odwrócić.

Był sam. Stał koło nas i rozgrzewał oddechem ręce o brązowych paznokciach. Na palcu wskazującym prawej ręki widać było ślad po nikotynie. Miał mętne oczy i frotowy szlafrok. Mimo że przed ambasadą zebrał się tłum, wokół niego pozostał pusty krąg.



ODEBRANO 1 WIADOMOŚĆ  
KOCHANIE

*Honey, please cali or text me and tell if everything is alright! Worried! Love, I.*

NAPISZ WIADOMOŚĆ

*Everything OK. Just busy with the article. Hugs.*

*Łzy napływają mi do oczu w tym samym momencie, kiedy na ekranie komórki odlatuje koperta. Ściskam kieliszek wina i zastanawiam się, jak by to wyglądało, gdybym przycisnęła mocniej. Tak mocno, że szkło pękłoby na odłamki i przecięło mi dłoń, a wino i krew bryznęłyby na bluzkę i stół.*

Miał być w szpitalu.

Miał spać w białym pokoju, za zamkniętymi drzwiami i balkonami z drucianą siatką. Przyjmować leki z plastikowych niebieskich słoiczków rano, w południe i wieczorem, raz w tygodniu widzieć się z lekarzem, uczestniczyć w terapii plastycznej i malować swoje uczucia. Chodzić po korytarzu w szlafroku frotte i w kapciach z nazwą szpitala. Przemierzać powoli tam i z powrotem przestrzeń pomiędzy pokojem a balkonem dla palaczy i zatrzymywać się co jakiś czas, żeby pograć w ping-ponga albo w szachy z mężczyzną, który nie miał innego domu niż szpital, odkąd wiele lat temu obejrzał w telewizji dokument o słońtku, które zgubiło matkę.

– Anna, co się dzieje? – spytał Ian. Za jego wysoką sylwetką widziałam wąłą postać Jonasza, fałdy Jonaszowego szlafroka kołysały się za wojskową kurtką Iana.

Słyszałam jego głos, bębny, wiatr i wykrzykiwane hasła. Widziałam starą kobietę z psem, która patrzyła na manifestantów i poprawiała sobie chustę, małego chłopca w nosidełku na plecach matki, rękę mężczyzny na kobiecej talii, ślady mokrego śniegu na cholewach butów, wszystkich tych ludzi wokół mnie, pełnych wspomnień, rozczarowań i marzeń, od których gęstniało powietrze.

Widziałam pytające spojrzenie Iana.

– Co się dzieje?

Skinęłam głową w kierunku mężczyzny, który stał zaledwie parę metrów od nas, miał na sobie rozchełstany szlafrok i szpitalne kapcie, mężczyzny, którego klatka piersiowa i nogi zsiniały z zimna i który wiedział o mnie więcej niż ktokolwiek inny.

Chciałam go zaprowadzić tam, gdzie będzie bezpieczny.

Chciałam zawinąć Jonasza w mój szal i zanieść jak wróbla ze złamanym skrzydłem, którego znaleźliśmy w dzieciństwie na skałach z tyłu podwórza i któremu wymościłszy grób złotym bożonarodzeniowym łańcuchem, watą i liśćmi. Wysłwodziłam rękę z uścisku Iana, minęłam małego chłopca rozchlapującego błoto, dziewczynę z dreadami i starą kobietę i wzięłam Jonasza w objęcia. Jego skóra była zimna. Miał spłoszony wzrok i dyszał.

– Ukryj mnie – powiedział. – Musisz.

Jego serce uderzało w mój policzek i przypomniła mi się chwila, kiedy moje serce biło w taki sam sposób, a Jonasz przyszedł, żeby mnie uratować.

Byłam w gimnazjum i organizowałam imprezę urodzinową.

Początkowo nie mogłam zebrać się na odwagę. Chłopcy z mojej klasy nosili dresy z szerokimi nogawkami i lotnicze kurtki z kapturem/ dziewczyny miały wąskie lewisy i niebieski tusz do rzęs. Chciałam wyglądać tak samo jak one. Chciałam się nauczyć stać w taki sam

sposób, przekrzywiać plecy i opierać ciężar ciała na jednej nodze. Chciałam umieć mówić równie naturalnie:

– Stara powiedziała rano, nalej no, kurwa, soku do płatków.

Albo:

– Obiecał, że zdecyduje w ciągu trzech dni, czy będziemy razem. Teraz minęło już dwa i pół i normalnie myślę poderżnąć sobie gardło.

Chciałam, żeby mówili o mnie tak samo jak o innych:

– Kto przyjdzie?

– Anna i tamci. Albo:

– Spędziliśmy weekend z Anną i tamtymi. Chciałam, żeby ktoś z nich przynajmniej się do mnie odezwał.

Kupiłam nowe džinsy, takie same proste lewisy, jakie miały dziewczyny. Kupiłam niebieski tusz do rzęs i różowy błyszczak i nauczyłam się kraść papierosy ze sklepu obok szkoły.

– Robię w sobotę imprezę – powiedziałam, starając się, żeby zabrzmiało to obojętnie.

Stałam w palarni i częstowałam kradzionymi papierosami dziewczyny, które dzięki temu zaczęły mnie zauważać i sporadycznie się ze mną witać albo pytać o godzinę.

– A wóda będzie?

– Bracki załatwi.

Dziewczyny uniosły brwi i przyglądały mi się, jakby dociekając, czy mówię prawdę albo miałam taką nadzieję – jakby się zastanawiały, czy nie oceniały mnie źle, bo pod

skorupą zdenerwowania krył się we mnie jednak chłodny, tajemniczy typ.

Posprzątałam pokój. Zamieniłam plakat z sex pistolsami na Madonnę, wyniosłam na strych wiersze Edith Södergran i położyłam na półce płytę AC/DC pożyczoną od Jonasza. Kiedy wieczorem wcisnęłam się w wąskie lewisy, natapirowałam grzywkę w wysoki czub i pociągnęłam usta błyszczkiem, uznałam, że wyglądam prawie wiarygodnie. Jak dziewczyna, która mogłaby prosić przypadkowych przechodniów o pieniądze w dworcowym tunelu albo przyjść dwie godziny spóźniona do szkoły, z bandanką ukrywającą malinki na szyi.

Impreza miała się zacząć o siódmej. Wypiłam dwa kieliszki ponczu i trzy razy poprawiłam usta błyszczkiem. Na stole stała misa z ponczem i chipsy, a ja widziałam siebie jako główną bohaterkę filmu, nieśmiałą dziewczynkę, której prawdziwe życie wkrótce się rozpocznie. Widziałam już w zbliżeniach miny klasowych twardzieli, kiedy otwieram drzwi w swojej nowej fryzurze i pewnie się uśmiecham. Szybkie kadry rąk nalewających poncz, okruchów chipsów na podłodze, kołyszących się bioder, ukradkowych, zdziwionych i pełnych podziwu spojrzeń, skierowanych na mnie. Moja twarz w samotnej chwili w kącie, a tuż potem, po ułamku sekundy, ja wymykająca się do sypialni, za rękę z chłopakiem, w którym kochały się wszystkie dziewczyny z klasy O w pół do ósmej poczułam skurcz żołądka. Chodziłam po kuchni, przedpokoju i salonie i zerkiałam na podwórze.

Liczyłam samochody.

„Przyjdą, jak przejedzie pięć czerwonych”.

„Po następnym autobusie”.

„Po dwóch ciężarówkach i samochodzie dostawczym”.

„Po wozie policyjnym”.

O dziewiątej siedziałam na parapecie z twarzą ukrytą w kolanach i płakałam do utraty tchu.

Kiedy już nie miałam siły spoglądać na zegar, kiedy tusz spłynął mi strużkami po policzkach, kiedy misa z ponczem była pusta, a ja zwymiotowałam na dół bluzki, zabrzmiał dzwonek do drzwi.

Byli pijani. Weszli do środka, tak jak stali. Strużki błota spływały im z butów na podłogę.

– Zobaczcie, jak się Anna odwaliła.

– Spójrzcie na jej twarz!

– Przez cały wieczór ryczała tutaj sama!

– A gdzie twoi znajomi?

Nie zdążyłam niczego ukryć. Widzieli wszystko, tak żalosne, jak to w rzeczywistości wyglądało. Widzieli opadły czub, tusz rozlany na policzkach, rozmazaną szminkę i zbyt czyste dzinsy. Widzieli mnie na wylot i nie miałam dokąd uciec.

– Przestań!

– Przecież tego chciałaś.

Chłopak przyparł mnie do ściany. Jego ręka wśliznęła się pod moją bluzkę. Pozostali obserwowali zajście z podłogi, między nimi leżała misa z chipsami i odłamki

szkła po wazie z ponczem.

– Romansu ci się zachciało, co? Tak się napracowałam, żeby ktoś cię zauważył!

– Proszę cię!

– Przecież robię ci dobrze.

Ręka była zimna, oddech kłuł mnie w twarz. To nie ma ze mną nic wspólnego, pomyślałam. Mnie tu nie ma. Ta dłoń mnie nie dotyka. To nie mój krzyk.

– Co tu się do cholery dzieje?

Ręka znieruchomiała. Otworzyłam oczy i zobaczyłam Jonasza. Stał za chłopakiem, w swojej kurtce i butach, był zły i dostatecznie wysoki, by móc jedną ręką podnieść go do góry.

Obok Jonasza stał Mika w kapturze, ciemne włosy zakrywały mu oczy do połowy. Przyglądał mi się spod włosów. Nikt się nie odezwał. Słysząc było czyjś szybki oddech i odgłos odstawianej na podłogę butelki piwa. Jonasz i Mika bili się najlepiej w mieście. Mieli *reputację*. Kiedy tak stali w salonie, zaciskając wargi i mrużąc oczy, i kiedy Jonasz uniósł rękę i chwycił nią za kark stojącego przede mną chłopaka, miałam większą władzę niż kiedykolwiek przedtem.

Jonasz wykręcił mu ręce za plecy i zmusił, by na niego spojrział.

– Na kolana – rzucił. – Padnij na kolana i przeproś Annę.

– Daj spokój.

– Dobrze ci to zrobi.

Ręka Jonasza pchnęła chłopaka na kolana, tak nisko, że aż ucałował ziemię. Mika podszedł do mnie, zdmuchnął włosy z oczu i otoczył mnie ramieniem. Znów stałam się główną bohaterką filmu. Byłam dziewczyną, której jednak się udało.

A teraz serce Jonasza biło tuż przy mojej szyi i było w mojej mocy, by go zabrać ze sobą.



*Prezydencie George W. Bush*

*Piszę aby Pana ostrzec przed konsekwencjami jakie zrodzi planowany przez Pana atak na Irak. Nie potraktował Pan poważnie tego, co napisałem w czasie wojny z Afganistanem a więc: jest Pan mordercą. Chorobą Współczesnego Świata.*

*To nie jest gra. Tam umierają LUDZIE.*

*Czy ja nie mogę Panu tego powiedzieć tak samo jak ktoś inny tylko dlatego że od długiego czasu nie widziałem nic więcej niż te ściany wokół mojej głowy i wszystko co jest tam w środku? Czy też mój głos jest głosem ciszy którego musi Pan posłuchać?*

*JA CZUJĘ jak do nich strzelają.*

*Życie nie jest Wielką Narracją Panie Bush. W tych ścianach jest to zrozumiałe samo przez się.*

*Muszę walczyć z Pańską Opowieścią.*

*Zastanawia mnie samooszukiwanie się jako kwestia egzystencjalna. Pańskie samooszustwo mieści się po drugiej stronie granicy. To odbiera wartość istnieniu innych ludzi i: zabijając niewinnych odbiera Pan wartość własnemu istnieniu.*

*Nadejdą pokolenia i po nich kolejne, których wspomnienia Pan zniszczył zanim się jeszcze narodziły. Nie Zostanie To Panu Wybaczone.*

*Bóg musi się na Panu zemścić. Ktoś musi się zemścić.*

*Sincerely yours*  
*Jonasz Louhiniitty*  
*Finland, Europe*

W szybę kawiarni puka kobieta ze skołtunionymi włosami, w ręce trzyma kartkę z napisem: *Ja jestem Drogą, Prawdą i Życiem*. Patrzy na mnie oczami jak szparki i uśmiecha się, jakby o czymś wiedziała. Odwracam wzrok do kawiarnianej półki z prasą, na której stoi „Newsweek” i „Suomen Kuvalehti”, z ubranymi w czarne garnitury mężczyznami spoglądającymi na mnie z okładek. Za nimi widzę mojego Jonasza ubranego w szpitalny szlafrok, w wieczór poprzedzający demonstrację.

Jonasz wybiera się na balkon. Ma zaspane oczy, papieros zwisa mu między palcami. Mija pokój pielęgniarek, przez szklaną ścianę widzi na ekranie telewizora jasnowłosą kobietę, której łza spływa po policzku. Jonasz przystaje. Jego wzrok wędruje od pięknej kruchej twarzy kobiety do włosów pielęgniarek, ich koków i łupieżu błyszczącego w świetle na białych fartuchach, do brudnych kubków po kawie, słoiczków z lekarstwami i otwartej gazety leżącej na stole.

*Powstrzymajcie wojnę – Koniec ataków na Irak. Manifestacja rozpoczyna się 15 lutego o godz. 14 przy dworcu kolejowym.*

Jonasz czuje zimny dreszcz w brzuchu. Na to czekał. Czuwał nocami, patrzył przez okno na kawałek

gwiazdzistego nieba, w kabel lampy zwisający wzdłuż ściany, w otwarte usta śpiącego obok mężczyzny i prosił o znak.

– Daj mi znak – powtarzał Bogu, którego, odkąd pojawił się czarnooki mężczyzna, zaczął nazywać Allahem.

– Inszallah, daj mi znak, który mnie poprowadzi, bym wypełnił Twoją wolę.

Łapie oddech.

Jeszcze nie wie, co ma do zrobienia, ale wie, że jest gotowy. Był gotowy, odkąd pamiętał, może już od dziecka, od czasu, kiedy jeszcze nie rozumiał w czym rzecz. Był gotów przyjąć Zadanie, wyjść naprzód i umrzeć, jeśli zajdzie taka potrzeba. Był gotów tak samo jak młodzi mężczyźni i kobiety, którzy owijali się ładunkami wybuchowymi i wysadzali w powietrze w wypełnionym autobusie albo pośrodku rynku. Był gotów na cokolwiek, co pozwoliłoby mu umrzeć za coś większego niż on sam. Często odnosił wrażenie, że gdzieś nastąpiła pomyłka. Powinien był urodzić się Palestyńczykiem albo Czeczenem, a wszystkie jego problemy brały się stąd, że przyszedł na świat w skandynawskim kraju dobrobytu, w którym niemożliwością jest zostać bohaterem, wysadzając się w powietrze.

Jonasz powtórnie czyta tekst i odwraca się. Idzie na balkon powoli, żeby nie zwrócić niczyjej uwagi. Mógłby się unieść w powietrze i pofrunąć jak balon, ponad szpitalem i miastem. Zapala papierosa ze złej strony,

wypluwa gorzkie wiórki, spuszcza głowę i krzyżuje zaciśnięte ręce na poręczy balkonu.

– Dziękuję, kochany Boże – szepcze, opierając czoło o lodowatą drucianą siatkę.

– Ukryj mnie. Uciekłem ze szpitala i policja... oni mnie szukają i... Kochana siostrzo, musisz mnie uratować!

Jonasz schudł. Przez szpitalny szlafrok mogłam wyczuć rękami jego sterczące łopatki i ostre krawędzie obojczyków. Miał mętne źrenice i czerwone obwódki wokół oczu, był nieogolony, a z wąsów zwisały mu krople jogurtu. Ludzie wokół przestali krzyczeć i zwrócili spojrzenia w naszą stronę. Młoda dziewczyna szepnęła coś do koleżanki, zasłoniły usta rękawiczkami i parsknęły śmiechem. Wyobraziłam sobie, że wyciągam pistolet i strzelam im obu w czoło.

– Chodź.

Otoczyłam Jonasz ramieniem i poprowadziłam przez tłum. Wspierał się na mnie jak starzec, Ian bez słowa szedł za nami. Kiedy przeciskając się pośród manifestantów, dotarliśmy do parku, zdjął kurtkę i założył ją Jonaszowi.

– Dziękuję – powiedział Jonasz, spoglądając na Iana tak, jakby zobaczył anioła. – Pięknie dziękuję.

Jonasz i Ian nigdy się nie spotkali. To moja wina. Byłam z Ianem tak bardzo szczęśliwa, że wydawało mi się to bezwstydem, zniewagą wobec Jonasz. A równocześnie bałam się, że coś zniszczy nasze szczęście, jeśli Jonasz stanie się częścią naszego świata.

Ian patrzył na mnie, jakby wiedział, o czym myślę. Kiedy poprowadziłam Jonasz na pobocze i zadzwoniłam

po taksówkę, zatrzymał się parę metrów od nas. Miał na sobie tylko cienki wełniany sweter i oplótł ramiona rękoma, żeby się ogrzać. Był kochany, wyrozumiały, zagubiony i samotny, a ja zapragnęłam zamknąć go w butelce i wcisnąć do kieszonki na piersi, by już zawsze słyszał bicie mojego serca i żeby nic nie mogło go zranić. Stał w tej samej pozycji, gdy przyjechała taksówka, gdy posadziłam Jonasza na tylnym siedzeniu i usiadłam obok, i kiedy zapukałam w szybę i bezgłośnie powiedziałam: *Cali you later. I love you.*

W taksówce Jonasz usiadł tuż przy mnie.

– Ty im nie pozwolisz mnie *zabrać*, prawda? – zapytał.

Odpowiedziałam, że nie. Jego włosy pachniały tłuszczem i łupieżem. Położył mi głowę na ramieniu i mamrotał niewyraźnie o tym, jak to napił się w szpitalu płynu z wózka sprzątaczkii, trafił na płukanie żołądka i rano uciekł, zanim lekarz przyszedł go zbadać.

O szyby taksówki uderzał deszcz ze śniegiem. Głaskałam spocone miejsce na plecach Jonasza i przypominałam go sobie jako małego chłopca w czarnym samochodzie, tego dnia, gdy tata prowadził zbyt szybko. Chciałam móc poprosić taksówkarza, żeby wyjechał z miasta i zawiózł nas prosto na wschód, przez Syberię do Chin albo na daleką rosyjską plażę. Żebym mogła pozwolić Jonaszowi zasnąć w moich ramionach, z wiarą, że samochód zawiezie nas, nie zatrzymując się, przez śnieżne brzeziny i pustkowia, na których szkielety zmarłych

zwierząt wznoszą się jak pomniki pośród niekończących się piasków. Chciałam mieć pieniądze, żeby spędzić resztę życia z Jonaszem w blaszanej skorupie taksówki i przyglądać się całemu światu migającemu za oknem.

– Co właściwie chciałeś zrobić?

Jonasz leżał na łóżku. Miał na sobie pasiastą flanelową piżamę Iana, a jego powieki były na wpół przymknięte.

– Dokonać samospalenia – szepnął. – Tak samo jak mnisi buddyjscy. Najpierw myślałem o samobójczej bombie w ambasadzie amerykańskiej. Ale to by się mogło tak szybko nie udać.

W jego głosie nie było ani śladu ironii. Jak zawsze. Myślę, że to jedna z jego najwyraźniejszych cech. Jonasz mówił zawsze serio.

Zastanawiałam się, co by się stało, gdyby zdążył to zrobić. W środku zgromadzenia jego ciało zamieniłoby się w ogromną pochodnię, a woń spalonej skóry rozlałaby się w tłumie, zatrzymałaby okrzyki i wywołała niespokojne szepty. Przypomnił mi się mężczyzna z Czechosłowacji, który dokonał samospalenia na praskim placu w tym samym roku, w którym spotkali się nasi rodzice. I inny mężczyzna, który niedawno dokonał samospalenia na tym samym placu, po rozesłaniu przez Internet na cały świat protestu przeciw wojnie w Iraku i przeciw powszechnej obojętności.

– Dlaczego? – zapytałam Jonaszka możliwie najspokojniej, żeby nie obrazić jego uczuć.



– To byłoby coś bezwarunkowego – odpowiedział. – Poprzez śmierć zaprotestować przeciw zabijaniu. Wszyscy by się musieli przebudzić. Długo nad tym myślałem.

Zmieszałam sok w starym plastikowym kubku, którego używaliśmy w dzieciństwie na wycieczkach. Jonasz podniósł się do pozycji półsiedzącej i pił. Trzymał kubek obiema rękami, tak jak to robią dzieci. Myślałam o ludziach falujących w manifestacji, o rodzinach z dziećmi, staruszkach, dziewczynach i chłopcach z dreadami. Co by pomyśleli, gdyby Jonasz zdążył zrealizować swój plan? Jak by się czuli jeszcze długo po tym. My. Jak bardzo byłoby nam wszystkim przykro, że naszą manifestację przywłaszczył sobie mężczyzna, który słyszał pokrętne głosy i widział coś, czego nikt inny nie widzi. Nikt nie życzył sobie protestu uciekiniera ze szpitala psychiatrycznego. Z jakiegoś powodu ta myśl bolała mnie najbardziej. Marzenie mojego Jonasza nigdy by się nie spełniło. Nawet jego ostateczny czyn nikogo by nie zatrzymał.

Nie miałam odwagi myśleć, co by się stało, gdyby zachował swoje marzenie o samobójczej bombie i gdyby udało mu się kiedyś je spełnić.

Wyniosłam kubek z sokiem do kuchni i rozłożyłam Jonaszowi na kołdrze podniszczony koc. Wyglądał pod nim niewinnie i bezbrinnie. Myślałam o tym, jak zdobył się na czyn wymagający tylu przemyśleń. Jak zorganizował sobie płyn sprzątaczkowy. I jak znalazł rankiem drogę do wyjścia ze szpitala. Czy miał ze sobą zapalki?

– Nie – odpowiedział, gdy go o to spytałam. – Zapomniałem w tym rozgardiaszu.

Uśmiechnęłam się.

– To może dobrze, że na mnie trafiłeś? Przez chwilę wyglądał tak, jakby zamierzał odpowiedzieć mi uśmiechem. Potem podniósł kołdrę do ust i westchnął:

– Dziękuję, że jesteś po mojej stronie. Głaskałam Jonasza jeszcze długo po tym, jak zamknął oczy, a jego ciało przebiegł przedsenny dreszcz. Słuchałam zegara sąsiadki, który co piętnaście minut wydzwaniał melodię Big Bena, patrzyłam na blade policzki Jonasza i zadrapania po goleniu i widziałam małego chłopca, który siedzi w słoneczny dzień na tylnym siedzeniu samochodu i pokazuje środkowy palec jadącym z tyłu.

Kiedy twarz Jonasza się rozluźniła, a oddech wyrównał, przekradłam się do przedpokoju i wyjęłam z torby komórkę.

– Poszukiwany przez was Jonasz Louhiniitty... – zwróciłam się do rzeczowego kobiecego głosu, który odezwał się pod numerem policyjnego posterunku – uciekł dziś rano ze szpitala, gdzie pozostaje na przymusowym leczeniu psychiatrycznym, i znajduje się u mnie pod adresem...

Kiedy skończyłam rozmowę, wyszłam z domu naprzeciw radiowozowi. Było zimno. Miałam na sobie tylko dzinsy i T-shirt, a na nogach dziurawe adidasy Iana. Zdjęłam je i zanurzyłam stopy w mokrym śniegu. Ukłucia zimna wędrowały przez skórę i przypomniał mi się Jonasz

sprzed lat, w dniu, gdy po raz pierwszy wyszedł ze szpitala.

– Nigdy więcej nikomu nie pozwólcie mnie tam zabrać!

Leżał na łóżku skulony jak embrion, a my siedzieliśmy dookoła, tata, mama i ja. Jonasz pogryzł sobie kolana i nadgarstki i płakał płaczem, który brzmiał tak, jakby w jego wnętrzu został uwięziony ktoś inny.

– Tam jest stary człowiek, który się zakradł w nocy do mojego łóżka i włożył mi ręce w spodnie i... Pielęgniarki nie wierzyły, jak im o tym powiedziałem i... Ja powiedziałem, że zabiję te dziwki i... I wcale nie chciałem ich bić, ale one mi nie wierzyły. A potem... przywiązali mnie pasem do łóżka. Byłem tak przez całą noc. Całą noc przywiązany do łóżka.

Mama i tata spojrzeli po sobie. Klatka piersiowa taty poruszała się szybko, a oczy mamy zachodziły łzami. Głaskaliśmy Jonasa po głowie, ramionach i plecach. Nie mogłam oderwać wzroku od złotych włosków na dłoni taty, od dwóch diamentowych pierścionków mamy i czarnego, popękanego lakieru na moich paznokciach. „To moja rodzina” – myślałam i czułam pod mostkiem falę zimna. Oto siedzimy, moja rodzina i ja, spleceni więzami, o których nie wie nikt na całym świecie.

Radiowóz policyjny wjechał na podwórze na wyłączonych światłach.

– On śpi – powiedziałam przez telefon przestraszonym

głosem i powstrzymując płacz. – Jeśli obudzi się zbyt wcześnie, może próbować coś sobie zrobić.

Przekazałam klucze policjantce, która miała dołeczki na policzkach, włosy związane w koński ogon i mogła mieć najwyżej tyle lat co ja.

– Drugie piętro, pierwsze drzwi po lewej. Sypialnia jest tuż za przedpokojem i... jeśli to państwu odpowiada, zostanę tutaj.

Kiedy policjanci weszli do środka, pobiegłam za dom. Usiadłam na ziemi i zanurzyłam bosc nogi w mokrym śniegu. Przytuliłam twarz do kolan i zasłoniłam dłońmi uszy, żeby nie słyszeć krzyku Jonasza.

– Boże kochany, wybacz – powtarzałam w myśli. Krew pulsowała mi pod powiekami. – Kochany, kochany, dobry Boże. Spraw, żeby Jonasz zrozumiał. Nie pozwól, żeby ktokolwiek go skrzywdził. Spraw coś dobrego. Spraw, żeby wybaczył. Boże kochany. Boże kochany. Wybacz.

Ale kiedy usłyszałam krzyk Jonasza, surowe głosy policjantów i trzaśnięcie drzwi radiowozu, zrozumiałam, że nigdy, przenigdy nie będzie mi wybaczone.

Kelnerka przynosi campari i ściera ze stolika plamę po kawie. Uśmiecha się do mnie, jakbym była kimkolwiek, zwyczajną kobietą w zwyczajny dzień. Odpowiadam uśmiechem, zamawiam sałatkę z mozzarellą i wytrawne białe wino. Jestem kobietą, która po południu w kawiarni je sałatkę i zagłębia się w dobrej lekturze.

Idę do toalety, przemywam oczy zimną wodą, szczotkuję włosy i maluję rzęsy tuszem. W jasnym świetle moja twarz wydaje się obca. Myślę o tym, jak inaczej wyglądała rano, w półmroku w lustrze windy i jak inaczej odbita w szybie kawiarni. Czy inni widzą moją twarz tak jak ja, czy jest w niej coś, co można zobaczyć tylko samemu? Czy każdy ma na twarzy rysy, które widzi inaczej niż inni?

Kiedy wracam do stolika, sałatka już na mnie czeka. Pachnie bazylią i pomidorami, białe kawałki sera zostały skropione octem winnym i olejem. Wino jest chłodne i wytrawne, i kiedy obracam je na języku, mogę sobie niemal wyobrazić, że jestem kimś innym.

Jestem pewną siebie kobietą, która czeka w kawiarni na nieznanego mężczyznę. Mężczyzna jest ubrany w ciemny garnitur i ma bliznę na palcu. Chwilę wcześniej zobaczył kobietę na ulicy z okna samochodu, otworzył szybę i zaproponował spotkanie. Kobieta zerknęła na jego palec i zobaczyła duże, zakurzone mieszkanie, samotnego

mężczyznę, który kroi sushi, ostry nóż i ruch, kiedy mężczyzna, jakby dla zabawy, przykładła ostrze do skóry. Kobieta uśmiechnęła się, zachęcająco skinęła głową i wyciągnęła rękę w kierunku kawiarni.

Mężczyzna wchodzi do kawiarni w chwili, kiedy wino kobiety jest do połowy wypite. Siada na przeciwległym krześle, a nogawka jego spodni dotyka jej uda. Kobieta odkłada widelec, bierze mężczyznę za rękę i wyprowadza go na zewnątrz, na deszczowe ulice i do hotelu, z którego najwyższych pięter widać całe miasto.

Rozbierają się w otwartym oknie, palcami i ustami badają wypukłości i blizny na skórze. Drzwi są zamknięte na klucz, godziny płyną powoli. Kobieta i mężczyzna poznają siebie, jakby nie istniał żaden język ani zasady, jakby się spotkali w pustym świecie, w którym żadne z nich nie ma przeszłości, przyszłości ani szarpiących trzewia zobowiązań. Nie ma nic oprócz popołudniowego światła i ciała, które znajduje coraz to nowe sposoby, by dotykać drugiego ciała.

– Kochanie, co się stało? Skarbie!

Siedzieliśmy na podłodze łazienki. Miałam ślady cięć na nadgarstkach, Ian przyciągnął mnie w ramiona. Pachniał świeżym powietrzem, papierosami i piwem, a ja oparłam głowę o szorstką wełnę jego swetra i gryzłam go w pierś przez materiał, Ian wziął mnie w ramiona, dopóki oddech mi się nie uspokoił. Kiedy podniosłam wzrok, dostrzegłam, że ma oczy spuchnięte od płaczu.

– Co się stało?

Pytanie padło z naszych ust równocześnie. Pokręciłam głową i znowu schowałam twarz w jego szyi.

– Ty pierwszy.

Ian oczyścił mi skaleczenia, obmył twarz i zaprowadził do łóżka. Za oknem szary poranek zamieniał się w jasny dzień, owinełam nogi na biodrach Iana i słuchałam, co się stało po manifestacji.

– Kiedy ty i Jonasz pojechaliście...

– Jonasz miał twoją kurtkę.

– Tak.

– Zmarzłeś.

– To nic. Kiedy pojechaliście, a ja tam zostałem. Poczulem się tak... byłem zupełnie sam.

Gdy taksówka zniknęła z pola widzenia, Ian jeszcze długo stał w tym samym miejscu, obejmując się

ramionami, i słuchał zgiełku manifestacji przedostającego się przez park. Chciał z kimś porozmawiać. Chciał, żeby był ktoś, do kogo mógłby zadzwonić, kto usłyszałby jego ton i powiedział: maleństwo, przyjeżdżaj do mnie, choćby taksówką, ja zapłacę. Chciał mieć przyjaciela, u którego mógłby się zwalić na sofę, który by go poczęstował winem albo ciastkami, albo zimnym makaronem i zrozumiał odjeżdżającą taksówkę, obce miasto i samotność, i wojnę, i manifestację, i poczucie winy, które nie miało początku ani donikąd nie prowadziło. I to ustawiczne przytłaczające nic, które ścisnęło Iana w środku tak bardzo, że musiał się starać, by nie stracić oddechu.

Ponieważ takiego przyjaciela nie było, Ian postanowił poszukać *miejsca*. Postanowił chodzić po Helsinkach tak długo, aż znajdzie w tym mieście własny dach. Miejsce, w którym zdoła o sobie zapomnieć.

Minał manifestantów, którzy stali z rękami w kieszeniach i w butach przemoczonych od błota. Naprzeciw niemu wybiegła dziewczyna w czapce i schyliła się, by wyminąć rękę, która próbowała jej wsadzić mokry śnieg pod kołnierz. Chłopiec sięgający Ianowi do pasa poprosił go o papierosa, jego kolega z wywalonym językiem przyglądał się pupie przechodzącej obok kobiety, kobieta odwróciła się i pokazała mu środkowy palec.

Coś w tym wszystkim sprawiło, że Ianowi zrobiło się jeszcze smutniej. Zamknął oczy i zobaczył taką samą manifestację w swoim mieście, wieżowce wznoszące się



do nieba, a między nimi wijącą się, krzyczącą glistę ludzką. Zobaczył pulsującą maszynę miasta, drogi błyszczące światłami samochodów, ruchome schody zanurzające się pod ziemię, trzaskające drzwi restauracji, biur, kiosków z papierosami i domów. I szerokie drogi krajowe i morza, które łączyły miasto z innymi miastami i państwami. Przeguby torów, portów i lotnisk, wiążących ze sobą miasta, których każda ulica została namalowana na mapie (Ian zachwycał się wciąż na nowo, jak łatwo można w samym środku miejskiego hałasu i zapachów znaleźć róg ulicy narysowany na mapie. Jego zdaniem ład, jaki dawały mapy, był czymś niemal transcendentalnym, darem w postaci kawałka papieru złożonego w kieszeni, który zawierał o wiele więcej informacji niż tylko to, jak z jednego miejsca dojść do innego), i miasta, gdzie ulice były grząską serpentyną, a ten, kto się zgubił, musiał szukać północy i południa, patrząc na słońce, albo przekupić zmęczonego rikszarza kosmicznymi sumami, lub mieć nadzieję na to, że któryś z przydrożnych sklepikarzy zdoła pokazać mu drogę.

Kiedy Ian otworzył oczy, zobaczył na ziemi twarz prezydenta swojego kraju. Miał wielką głowę, ze skroni wyrastały mu czarne rogi. Ponad rogami palił się ogień. Knot zapłonął niepewnym, niebieskim płomieniem i rozpostarł się, trzaskając, w wysoką łunę, objął kowbojski kapelusz pomiędzy rogami i usta wyszczerzone w uśmiechu.

– Zniszczmy masowego mordercę z Teksasu!

Zniszczmy amerykański imperializm!

Głos należał do wątego chłopca w szarej czapce i amerykańskiej kurtce wojskowej. Wymachiwał pięścią w rytm okrzyku, a stojąca przy nim dziewczyna trzymała w powietrzu zapalniczkę, tak jak się to robi na koncertach, gdy zespół gra ukochaną przez wszystkich pościelowe.

Ian wiedział, że żadne z nich nie będzie musiało kiedyś stać w szarudze w obcym kraju i dusić się od uczucia, że zostało wyrwane z życia własnego i wszystkich innych, ani mieć druzgoczącej świadomości, że w całym mieście nie ma nikogo, z kim można by o tym wszystkim porozmawiać. Wydało mu się to tak niemożliwe, że powiedział na głos: „Spierdalajcie, wy dupki jebane”, pokazał środkowy palec dziewczynie, chłopcu i prześcieradłu palącemu się na ziemi i wybiegł z parku z uniesionymi ramionami, mając nadzieję, że istnieje jakaś rzeczywistość, w której ktoś poczuje do niego sympatię i wyrwie mu ziemię spod nóg.

Leżałam z głową w ramionach Iana. Ciągnął mi włosy przy skroni tak mocno, że gdy wystarczająco się skupiłam, potrafiłam na chwilę zapomnieć o własnych myślach i czuć tylko poruszenia jego opuszków palców, małe okręgi przechodzące od czoła na skronie i kark.

– Słuchasz? – zapytał.

– Oczywiście.

Zobaczyłam obraz w szybkiej migawce: zgarbiony mężczyzna na mokrym śniegu, za nim dym unoszący się

z płonącej flagi. Inny obraz w tym samym czasie: na górze dziecko wstaje z łóżka, jedzie trzykołowym plastikowym motorem przez przedpokój do sypialni rodziców, stukot kół na moim suficie i matka, która bierze dziecko na ręce, wyrywając je na siłę z motoru; przeszywający krzyk dziecka i krzyk Jonasza, który otworzył oczy i zobaczył nad sobą młodą policjantkę. Nie.

– Nie przestawaj, kochanie. Ciągnij mocniej. Za włosy. Tak, żeby bolało.

Skroń, kark, potylica. Poszcypywanie skóry głowy, gdy Ian zakreca na palcu kosmyk włosów i ciągnie.

– Mocniej.

Nie Jonasz. Nie. Tylko samotny Ian, który idzie nad morze z uniesionymi ramionami, zawraca i biegnie do sklepu po piwo. Litrowe butelki. Dwie pełne torby. I dzieci, które widząc go, wychodzącego ze sklepu, szeptały:

– To menel, może on by nam kupił?

Ian biegł na brzeg z plastikowymi torbami w ręce. Usiadł na oblodzonej skale, z której widział falujące szare morze, forty wznoszące się ponuro na przeciwległej wyspie i rozlewające się mgliście światła szwedzkich statków. Otworzył pierwszą butelkę. Pił ciepłe piwo długimi haustami, część spływała mu kącikami ust na szyję i na koszulę, wilgoć lodowaciała w zimnym powietrzu.

Pił dalej i co jakiś czas bekał, głośno i długo, jak w dzieciństwie, kiedy urządzali konkursy, w których każdy

miał wybekać swoje imię. Ian zawsze wygrywał. Oprócz Iana Browna potrafił wybekać Ronalda Reagana, Johnny'ego Rottena i Marilyn Monroe. Ci sami chłopcy, którym zdarzało się poprzedniego dnia myć mu głowę w muszli klozetowej albo zamykać go bez spodni w dziewczynskiej toalecie, podczas konkursów na beknięcie patrzyli na niego z niechętnym podziwem i prosili, by wybekiwał takie słowa jak *cunnilingus*, *motherfucker* i *wanking nigger*.

Ian opróżnił drugą i trzecią butelkę. Kiedy się podniósł, świat obrócił się na bok, jakby ktoś przekręcił aparat. Chwycił za oparcie stojącej za nim ławki, wciągnął powietrze i przełknął. W przetyku powstał balon, Ian wyrzucił z siebie powietrze donośnym beknięciem, które zabrzmiało jak:

– *Ian Brown*.

Przechodząca obok para z wózkiem obejrzała się, unosząc brwi. Ian przełknął nową porcję powietrza, wyciągnął ramiona na boki i beknął:

– *Fucking Finland*.

Śmiech rozległ się z dna miednicy, Ian opadł na kolana, otworzył czwartą butelkę piwa i żłopał schłodzony na powietrzu napój, kaszlał, czkał i śmiał się do łez, trzymając się za brzuch. Kiedy butelka była pusta, Ian znowu się podniósł i wybekał jedno za drugim:

– *USA sucks*.

– *War sucks*.

– *Finland sucks*.

– *Saddam sucks.*

– *Ian Brown sucks sucks sucks!* Po ostatnim *sucks* poczuł ból w piersi i wzbierający w gardle gorzki smak wymiocin. Przełknął, usiadł na ławce i położył głowę na kolanach. Otoczył ciasno nogi rękoma, ale świat dookoła wirował. Wirował jak w dzieciństwie na karuzeli w wesołym miasteczku, kiedy Ianowi kręciło się w brzuchu i chciał zejść, ale karuzela się nie zatrzymywała, a konie, słonie i kury nie przestawały się kręcić, świeciły lampki przymocowane do sufitu i grała muzyka. A jeśli to się nie skończy? A jeśli już nigdy nie wróci na stały ląd, żeby iść przed siebie we własnym tempie, ze spokojnym brzuchem i poukładanymi myślami? Jeśli to wszystko będzie tak trwać i trwać, mama kupi watę cukrową u bladego kłowna i pomacha do niego z uśmiechem zza różowej chmurki i nikt nie przyjdzie, by go stąd zabrać?

Ian wyciągnął z kieszeni komórkę i naciskał długo klawisz dwójki. *Cześć, tu Anna. Niestety, nie mogę teraz odebrać, ale zostaw, proszę, wiadomość.*

Ian zadzwonił jeszcze raz i jeszcze, powtarzając:

– To nic, Anna, naprawdę, nic takiego.

I:

– Nie jestem w ogóle pijany, wiesz, nie jestem, trochę tylko tak sobie przemyślałem różne sprawy.

I:

– Pleaaaase! Przyjedź po mnie, pleaaaase!

I:

– Odbierz. Proszę. Odbierz.

Gdy Ian usłyszał tę samą wiadomość po raz dziewiąty, wytarł twarz w rękaw swetra, wypił ostatnią butelkę piwa i nacisnął kciukiem klawisz z trójką. Zacisnął oczy, słuchając przytłumionego ciągłego sygnału, który odezwał się po krótkiej przerwie, i myślał o wiązce kabli idącej po dnie morza, którą wiadomość wysłana jednym naciśnięciem kciuka wędrowała jak błysk światła przez ocean do ojczyzny, która stała się dla Iana czymś niemal iluzorycznym. Kiedy w telefonie dało się słyszeć zaspiane *hallo*, przez chwilę nie potrafił nic powiedzieć. Dopiero gdy głos po drugiej stronie zagroził, że odłoży słuchawkę, Ian wyszeptał:

– Mamo!

Na trzeźwo taka rozmowa nie przeszłaby mu przez myśl. Ian odnosił się do swojej matki w sposób uprzejmy i chłodny, i chociaż nie czuł się specjalnie dobrze w jej towarzystwie ani za nią nie tęsknił, kiedy był daleko, miał nadzieję, otwarcie i boleśnie, że jego matka jest szczęśliwa. Gdyby nie zbudował sobie całego świata ze szczęścia ojca, na pewno pragnąłby szczęścia matki bardziej niż czegokolwiek innego. Od dziecka uważał za zrozumiałe samo przez się, że od matki nie należy niczego oczekiwać. Wziął sobie za punkt honoru troszczyć się o nią, a przynajmniej dbać o to, by nie przysparzać jej dodatkowych zmartwień. Ale nigdy nie uważał, że matka mogłaby mu mieć cokolwiek do zaoferowania.

Dlatego później trudno mu było zrozumieć, czego właściwie oczekiwał, kiedy siedział nad morzem i słuchał

przez telefon dalekiego głosu.

– Może liczyłeś na Wielkie Spotkanie – rzuciłam. Miałam zamknięte oczy, a palec Iana poruszał się pomiędzy moimi brwiami.

– Tak – przyznał. – Może.

Nie powiedział nic więcej, ale kiedy myślałam o nim samotnym na brzegu, przyciskającym telefon do ucha, uznałam, że wiem, czego oczekiwał. Myślałam o nim jak o małym, okropnie ostrzyżonym chłopcu ze zmieszaną miną i wierzyłam, że pragnął, by matka usłyszała głos tego chłopca. Wierzyłam, że Ian oczekiwał od matki, która obudziła się po drugiej stronie kuli ziemskiej w swojej drogiej koszuli nocnej i w czepku na głowie, że będzie pamiętała chłopca, który wracał ze szkoły z mokrymi włosami i powstrzymując płacz, mówił:

– Wszystko w porządku.

Wierzyłam, że miał nadzieję, że matka będzie pamiętała tego chłopca i rozumiała, jak ciężko było mu wypowiedzieć te słowa. I, być może, oczekiwał, że matka szepnie mu, iż wie, jak się czuł ten chłopiec. Że pamięta tego chłopca i wszystkich innych, Iana małego i większego, tego z meszkiem na górnej wardze. Że wie i pamięta to wszystko i dlatego Ian nie jest sam, tylko w każdej chwili może przyjść do domu, a ona wyjdzie do niego i będzie wiedziała, kto to jest.

Tak się nie stało. Matka była zaspana i zirytowana, nie mogła zrozumieć, dlaczego jej dorosły syn dzwoni w środku nocy, zbyt pijany, by móc sformułować jedno

pełne zdanie, Ian usłyszał w tle, jak budzi się Michael, usłyszał, jak matka zasłania dłonią słuchawkę i oboje szeptem dyskutują, aż w końcu padają słowa:

– Zamierzasz mu powiedzieć?

– Teraz?

– A kiedy?

Słowa sprawiły, że Ian wytrzeźwiał. Ściskając telefon w spoconej dłoni, szepnął, a może krzyknął:

– Powiedzieć co? Mamo! Mamo!

W słuchawce zatrzeszczało, gdy matka podała telefon Michaelowi przez długość łóżka, Ian usłyszał senne pokasływanie, a potem uprzejmy, lecz daleki męski głos wypowiedział słowa, na które Ian czekał, których się bał i które wyobrażał sobie od chwili, gdy z przeładowaną walizką i laptopem stał na lotnisku w kolejce do odprawy.

– Ian, twój ojciec zmarł dwa tygodnie temu. Bardzo mi przykro. Naprawdę.



– Mama okropnie się martwi.

Zdejmuje czapkę z głowy i siada naprzeciwko mnie. Ma czerwone uszy i zimne dłonie, z kurtki przewieszanej przez oparcie unosi się zapach świeżego powietrza.

– Jak na to wpadłeś, żeby tutaj przyjść?

– Zadzwońłem do Iana. Powiedział, że często tu bywasz. On też się martwi.

Zamawia szklanekę sherry i zapala fajkę. W czarnym garniturze i z luterańską białą koloratką na szyi wygląda jak nie z tego świata. Ludzki ksiądz za strużką fajkowego dymu. Pasterz, który zboczył do grona grzeszników, grzeszny człowiek Pana. *Grzech*. Jakże to głupio brzmi. W szkółce niedzielnej uczyli nas, że grzech odgradza nas od Boga. Podniosłam rękę i zapytałam jak to. Czy Bóg nie jest przypadkiem egoistycznym narcyzem, który stworzył człowieka na swoje podobieństwo, a potem, nie dając innych możliwości, postanowił ukarać tych, którzy Go nie kochają? Czyż nie jest okrutniejszy i bardziej samolubny niż jakikolwiek dyktator?

– Twój tata też tak uważa? – spytał ksiądz.

– Skąd mam, kurwa, wiedzieć – odpowiedziałam i wyszłam, przygryzając dolną wargę.

Poszłam na brzeg i wrzucałam małe kamienie w kołyszące się trzciny. Słuchałam szumu wiatru w sitowiu i marzyłam o pięknej pisarce, która weszła do

wody z kamieniami w kieszeni. Gdybym tak była równie odważna, myślałam wówczas. Gdybym tak pewnego dnia była równie odważna jak ona.

Teraz tata siedzi naprzeciwko mnie i muszę się skoncentrować, by być w stanie z nim rozmawiać. Zaciskam pod stołem dłoń w pięści i otwieram, zaciskam i otwieram. Nie mogę się rozsypać. Nie tutaj. Nie mogę zrobić niczego, co naruszyłoby naszą umowę co do tego, kim jesteśmy, na kogo wyrosłam i co nas łączy. Kiedy po raz ostatni byłam z nim sam na sam? Kiedy widziałam tatę gdzieś indziej niż w szpitalu, u niego w domu albo w kościele? Co wiem o jego życiu? Jak to możliwe, że żyje się z kimś do osiągnięcia dojrzałości i wyrasta na kogoś tak mu obcego, że nie pozostaje nic ponad dokuczliwą świadomość wspólnych wspomnień?

Tata obraca na talerzu resztki mojej sałatki, wygląda na zagubionego i niepasującego do tego miejsca tak samo jak stary nauczyciel poza obszarem szkoły albo były facet w dowolnym miejscu. Patrzę w okno i staram się wymyślić coś do powiedzenia. Na skraju chodnika parkuje czerwone auto. Drzwiczki otwiera młody mężczyzna w okularach słonecznych na czole i przypomina mi się czerwony samochód sprzed wielu lat. Tata i ja, i dzień, który był prawie naprawdę szczęśliwy.

Tego dnia otrzymałam świadectwo dojrzałości i tradycyjną fińską czapkę maturzysty. Tata zaprosił nas do rosyjskiej restauracji. Miałam na sobie sukienkę kupioną

na pchlim targu, pofarbowałam włosy na czerwono. Jonasz założył marynarkę pożyczoną od taty. Umył głowę. Siedział naprzeciwko mnie, gawędził i uśmiechał się, pobłyskując zębami. Tata i mama wzięli się przez stół za ręce.

– Tylko bez rodzinnych imprez – zażyczyłam sobie, a mama zaprzeczyła, jakby faktycznie miała je w planach. Tata uniósł kciuk do góry.

– Dostaniesz za to najwspanialszy w świecie prezent – wyszeptał i uszczypnął mnie w policzek.

Ułożyłam ciuchy na łóżku i myślałam o własnym domu, do którego wkrótce się wyprowadzę, o cichych porankach i turkusowych ścianach.

Tamtego roku wiosna pachniała lepiej niż kiedykolwiek. Chodziłam po ulicach w rozpiętej kurtce i myślałam o jesieni i następnych latach. Nie zdawałam na studia, bo chciałam być przez jakiś czas wolna i robić to, na co mam ochotę. Chciałam zobaczyć, jak to jest usiąść w szlafroku na parapecie, popatrzeć na ludzi, którzy spieszą się do pracy, i wślizgnąć się z powrotem do łóżka.

Na deser dostaliśmy ciasto z lodami i kremem beżowym i świeże truskawki. Jadłam z zamkniętymi oczami. Słodycz truskawki rozlała mi się po języku, a ponad nią płynęło zimno lodów.

„Jakby się ugryzło kawałek nieba” – pomyślałam.

Mężczyzna ubrany w kozacki strój i kobieta przewiązana chustą śpiewali rosyjskie pieśni, które miały smutne melodie, a słów nie dawało się zrozumieć.

Kiedy skończyły się lody i odeszli muzycy, tata brzęknął nożem o brzeg kieliszka.

– Anno – zaczął. Światło słoneczne wpadało przez okno w kącik jego oka. Wilgotna powierzchnia błyszcząca.

– Jesteśmy z mamą bardzo z ciebie dumni. Wspaniale zdałaś maturę. Szczerze mówiąc, czasami się martwiliśmy, jak dasz sobie radę. Tyle musiałaś przejść. Również przez to, czego byśmy ci nie życzyli.

Zerknęłam na Jonasza. Rysował palcem okręgi na nóżce kieliszka do szampana i uśmiechał się tak, jakby wszystko było dobrze. Tata odchrząknął.

– Udowodniłaś, że potrafisz się uczyć pod presją. Pokazałaś, że jeśli postanowisz do czegoś dążyć, udaje ci się to osiągnąć. Jesteśmy szczęśliwi z tego powodu i... Chcielibyśmy ci wręczyć coś szczególnego.

Tata i mama wstali. Mama poprawiła spódnicę i wyskubała okruszki z marynarki taty.

– Chodźmy – powiedział tata. Policzki mu poczerwieniały i uśmiechał się podekscytowany jak dziecko. – Chodźmy zobaczyć, co tam znajdziemy.

Wyszłam za rodzicami z restauracji. Jonasz został przy stole i palił cygaro. Tata pozwolił mu wybrać najdroższe z listy. Kelner przyniósł je na tacy i obciął główkę srebrnymi nożycami. Próbując cygara, Jonasz wyglądał tak jak inni mężczyźni w restauracji, zamożni i nieco znudzeni. Kelnerzy traktowali go tak samo jak wszystkich innych i przez cały dzień byłam z tego powodu szczęśliwsza niż z jakiegokolwiek innego.

Na zewnątrz było jasno i prawie ciepło. Mrużyliśmy oczy i kaszleliśmy kurzem unoszącym się na ulicy. Tata pogwizdujący *Gaudeamus igitur* szedł parę kroków przede mną i mamą. Kiedy skręciliśmy za róg restauracji, kazał mi zamknąć oczy.

– Możesz otworzyć!

Staliśmy na parkingu na tyłach restauracji.

Mama uściśnęła mi rękę, a jej obrączka wbiła mi się w skórę. Bolało, ale nie cofnęłam dłoni.

Jaskrawoczerwona blacha samochodu lśniła w słońcu. Tapicerka była z białej skóry, a na tylnej szybie wisiała kartka w kształcie maturalnej czapki. Na brzegu kartki był składany daszek, na jego środku widniały złote litery: *Annie. Powodzenia i miłości na wszystkich Twoich wyprawach. Mama i tata.*

Patrzyłam na kartkę i samochód. Tata i mama patrzyli na mnie. Odetchnęłam głęboko.

Widziałam samochód już wcześniej, na zdjęciu w fachowym czasopiśmie taty.

– Taki chciałbym kiedyś mieć – powiedział. Leżał na sofie z gazetą na brzuchu i kartkował ją z rozmarzeniem. – Saab 26. Fińska piękność.

Zdjęcie samochodu zrobiono jesienią na podwórzu domu jednorodzinnego, na dach auta spadały liście klonu, a przed przednim kołem siedział kot. Tata wyglądał na tak szczęśliwego, że próbowałam udawać zainteresowanie. Zapytałam o model i cenę, chociaż nie mogłam pojąć, jak on może jeszcze marzyć o starych samochodach.

Czyżby nie pamiętał tego, co ja? Słonecznego dnia i wycieczki, która miała się dobrze skończyć. Wiatru wpadającego przez szyby, samochodów przemykających obok i krwi, która zabarwiła mu na czerwono włosy klatki piersiowej. Jeśli tego nie pamiętał, to co pamiętał? Jeśli on nie pamiętał, to dlaczego wydarzenia tamtego dnia wpychały mi się do snu nad ranem albo przychodziły na myśl w dzień w samym środku przypadkowej rozmowy i rozpalały policzki tak, jakbym zrobiła coś wstydliviego?

Kiedy zapytał, co chciałabym dostać w prezencie maturalnym, nie potrafiłam nic powiedzieć. Najbardziej na świecie marzyłam o podróży do Indii, ale byłam pewna, że byłaby zbyt droga. Nie chciałam, żeby mama i tata musieli mi odmówić.

Patrzyli na mnie i czekali. Samochód stał przede mną, błyszczący i ogrzany przez słońce, a kartka na tylnej szybie trochę się odkleiła. Kosztował przynajmniej tyle, ile kosztowałby lot do Indii. Był droższy, niż mogli sobie pozwolić, a mimo to kupili mi go. Nie chciałam samochodu. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, co mogłabym z nim zrobić.

– Cudowny – bąknęłam. – Dziękuję. Cudowny prezent.

Tata otoczył mnie ramieniem. Obrączka mamy wbijała mi się w skórę. Wciągałam głęboko do płuc zakurzone powietrze, obejmując ich równocześnie tak mocno, jak tylko mogłam.

Szliśmy, trzymając się za ręce. Mówiłam o obojętnych

sprawach, które ratowały nas od rozmowy.

Wróciliśmy do restauracji, wypiliśmy kawę i koniak i zjedliśmy małe, ręcznie wykonane czekoladki. Jedliśmy i piliśmy, mówiliśmy o lecie i jesieni, i o tym, jak szybko z małej dziewczynki stałam się dorosła. Nikt nie powiedział nic przykrego ani nie podniósł głosu. Jedliśmy, piliśmy i rozmawialiśmy tak jak pierwsi z brzegu ludzie, którzy dobrze się ze sobą czują. Tak jak którakolwiek rodzina, świętująca sukces córki.

Po kawie tata wręczył mi kluczyki do saaba.

– To teraz się naciesz – powiedział i poklepał mnie po plecach. – I zadzwoń, jak będziesz potrzebować pomocy przy przeprowadzce.

– Nie pij za dużo – przykazała mama i objęła mnie zbyt mocno.

– Powodzenia, sostro – dodał Jonasz i uniósł rękę, jakby chciał mnie przytulić.

Kiedy wyjeżdżałam saabem z parkingu, jeszcze tam stali i machali do mnie.

Wieczorem nowy rocznik maturzystów poszedł świętować do Klippana. Było przytulanie się przy przebojach z lat siedemdziesiątych, było czerwone wino pite z kieliszków i wysokoprocentowy alkohol z własnych butelek. Wieczór był ciepły i piękny i przed powrotem do domów wszyscy siedzieli obok siebie na skałach, trzymali się za ręce i śpiewali przebój zespołu Nylon Beafs *Oddam ci swe ciepło, swą miłość, piękna jest moja młodość*. Dookoła przelewało się czarne i zimne morze, a na jego

tafli błyszcząły światła parku Kaivopuisto.

Wieczór był ciepły i gęsty od tęsknoty, ale ja nic z tego nie poczułam.

Leżałam w wyjściowej sukience na cienkim materacu na podłodze mojego nowego mieszkania, piłam tanie wino prosto z butelki i patrzyłam, jak światło księżyca spływa zimną strugą z okna na podłogę.

A teraz naprzeciwko mnie siedzi tata i chce się dowiedzieć, dlaczego nie poszłam do szpitala do Jonasza. Mój tata – wokół oczu zebrała mu się siatka zmarszczek, a we włosach prześwituje siwizna. Mój tata. Mały chłopiec w zimową noc nagi w zaspie śniegu i wszyscy ci chłopcy, o których nic nie wiem.

A teraz. Nie mogę teraz płakać.

– Co się dzieje? – pyta. – Aniu.

Nie mogę nic poradzić na burzę, która zaczyna się gdzieś na wysokości żołądka i przelewa wyżej, gorącymi strugami na policzki i drzeniem, które przyszło nie w porę. Nie teraz. Ale burza przelewa się przeze mnie i jego głos, taki sam jak wtedy, gdy byliśmy dziećmi, i ja, dziecko, które kiedyś mnie przypominało. Nagle się nim staję.

– To była moja wina – szepczę.

– Co było?

– Jonasz.

– Co?

– Ten wieczór. Manifestacja. To była moja wina.



– Twój ojciec zmarł dwa tygodnie temu.

Ian leżał koło mnie na łóżku. Zasłonił oczy ramieniem i naśladował głos Michaela.

– Przykro mi. Przykro? Dzięki. Wspaniale. Spierdalaj.

Myślałam o ojcu Iana. Nieznany mężczyzna, który umarł samotnie w łóżku w domu opieki. Chciałam dać Ianowi takiego ojca, jakim go sobie wyobrażał. Bohatera, który jeździł na motorze i budował domy dla ofiar wojny. Chciałam zanurkować w historię jego rodziny i znaleźć w życiu ojca Iana coś, co otworzyłoby Ianowi świat. Poprzestałam na tym, że głaskałam meszek na jego ramionach i szorstką szczecinę na szyi.

– Chcesz o tym mówić? – zapytałam ostrożnie.

Ian obrócił się na bok i przycisnął twarz do kolan.

– Nie teraz. Nie ma nic, o czym potrafiłbym rozmawiać.

Zwinął się na łóżku jak embrion. Poczułam lodowatą falę na dnie żołądka. Wysoki mężczyzna wygląda w takiej pozycji przerażająco, nie pasuje do świata. Ciało Iana drżało jak na mrozie. Poprosił, żebym opowiedziała, jak spędziłam wieczór.

– Dlaczego, do jasnej cholery, masz rany na nadgarstku?

Z głębi bloku zabrzmiał głuchy krzyk. Przypomniał mi się artykuł o przemocy w związkach i zastanawiałam się,

czy właśnie w tej chwili nie dzieje się coś, co niszczy czyjeś życie. Jeśli wstanę teraz z łóżka, prześlizgnę się na klatkę schodową i rozpoznam, skąd dobiega krzyk, czy zdołam zapobiec czemuś strasznemu? A może to krzyk kochającej się pary, która huśta się po drugiej stronie czasu i wbija sobie paznokcie w skóry?

– Słyszałaś?

– Słyszysz ten krzyk?

– Nie. Ale chciałbym usłyszeć, co ci się stało.

Wzięłam do ust róg kołdry. Zastanawiałam się, skąd wziąć odpowiednie słowa. Skąd wziąć słowa, by opowiedzieć o pięści zaciskającej mi się pod mostkiem i o tym, że nie miałam nawet pojęcia, jak powinno się żyć po takim wieczorze. Ponieważ takich słów nie było, zebrałam wydarzenia wieczoru w urywane zdania. Opowiedziałam o śpiącym Jonaszu i policjantach, i o tym, jak poszłam na brzeg, kiedy światła radiowozu roztopiły się w ciemności.

Na brzegu nie było nikogo. Na granicy wody z lądem drżał zmoczony komiks, obok leżał znoszony męski but. Usiadłam na brzegu na kolanach i wzięłam but w ramiona. Był z ciemnobrązowej skóry, rozmiar 43, taki sam jak Iana. Na cholewce buta były żółte paski, a sznurowadło było naderwane u góry. Uniosłam but do twarzy i poczułam zapach potu i morza.

Sprawdzałam ręką wodę, kiedy zadzwoniła komórka.

Wyobraziłam sobie, jak wchodzę do wody, z butem

pod pachą i telefonem w ręce. Zastanawiałam się, jak komórka wyglądałaby w wodzie, jak szybko woda uszkodziłaby jej delikatne części i przetrwałby tylko mój głos, który zachęcał, by zostawić wiadomość albo spróbować później jeszcze raz.

Dzwoniła mama.

– Gdzie jesteś?

– W domu – skłamałam. – Co się stało?

– Jonasz. – Głos mamy się załamał. Przytuliłam but do szyi.

– Jesteście w domu?

– Tak.

– Przyjadę do was.

Tata czekał na mnie w drzwiach. Miał spuchnięte oczy, w ręce trzymał zjedzoną do połowy kanapkę z kiełbasą. Kiedy mnie zobaczył, wyciągnął ramiona. Staliśmy długo na progu, w milczeniu, moja twarz w jego swetrze.

– Dziękuję, że chciało ci się przyjść – powiedziała mama.

Siedziała przy kuchennym stole i przyszywała guziki do starego szlafroka Jonasza. Przed nią stała do połowy pusta filiżanka z kawą i naczynie pełne roztopionego masła. Schowałam masło do lodówki i umyłam nóż. Tata i mama śledzili wzrokiem moje ruchy. Przez chwilę wyglądali jak dwoje dzieci, które zniszczyły w zabawie coś cennego i teraz czekają, by dorosły, który przybył na

miejsce, rozwiązał ich problem.

Zapytałam, czy chcą herbaty.

Postawiłam na stole kubki i zagotowałam wodę w gwizdzącym czajniku, który kupiliśmy mamie wiele lat temu w prezencie na Boże Narodzenie. Ja kupiłam, a Jonasz obiecał, że połowę mi odda. Kiedyś, jak będzie miał pieniądze.

– Jonasz jest na OIOM-ie – powiedziała mama. Ukłuła się igłą w palec. Krew zostawiła na ceracie brązową smugę. Wyrwałam z rolki kawałek papierowego ręcznika i schyliłam się, by ją wytrzeć.

– Próbował się zabić.

Tata siedział zgarbiony przy stole, ścisnął kubek i siorbał ze zmarszczonym czołem parującą herbatę, wydając z siebie co chwilę krótkie westchnienia.

Wiedziałam to. To, że coś takiego się wydarzy, krążyło mi po głowie dłużej niż tamtego wieczoru, tak długo, odkąd pamiętam. Kiedy mama opowiadała, co się stało, gdy radiowóz wyjechał z mojego podwórka, widziałam to wszystko. Nie jako nowy obraz, tylko stary. Jako obraz zapomniany i zakurzony w jakimś zakamarku umysłu, który teraz, przetarty na powierzchni, można było wyraźnie zobaczyć.

Jonasz siedzi zgarbiony w zimnym wnętrzu radiowozu, opiera czoło o szybę i widzi purpurowe niebo. Niebo wygląda jak na obrazach rosyjskich artystów, które dawno temu oglądał z tatą.

Brzuch uciskają mu zimne kleszcze. Nie chce tego.

Nie chce myśleć o radiowozie ani o szpitalu, do którego z nim pędzą, nie pytając o zgodę. Nie chce myśleć o ciepłe, które spłynęło na niego z rąk siostry zaledwie przed chwilą, o poczuciu jedności i tego, że jednak jest bezpieczny. Ani o nienawiści i strachu, które w nim dojrzewają. O obrazach siostry, które wciąż widzi, a w ręce ma siekiere, podnosi ją oburącz i uderza w środek jej głowy, rozplątując ją na części. Takie myśli wzbudzają coś czarnego i głębokiego. Musi to trzymać od siebie z daleka.

Pragnie tylko nieba rosyjskiego malarza i delikatnego zapachu kurzu galerii, swojej ręki w ręce ojca i obrazów z drewnianymi statkami kołyszącymi się na czerwonych, fioletowych i zielonych falach. Pamięta obrazy, które podobały mu się najbardziej. Te ze wzburzonym morzem i żaglami statków podartymi w strzępy. Pamięta rękę ojca na swoim ramieniu i spokój, dzięki któremu można było poszybować w świat obrazów, poczuć słony zapach morza, lodowate odmęty i przerażenie marynarzy, kiedy horyzont staje się czarny, a fale uderzają o burtę statku. Był równocześnie ogorzałym mężczyzną zwijającym żagle w obronie życia i milczącym chłopcem, który stał przed obrazem, wiedząc, że w każdej chwili może się odwrócić, wiedząc, że obok stoi tata, duży i mocny, gotowy zabrać go do kawiarni w muzeum i kupić lemoniadę albo lody.

Kiedy radiowóz okrąży park i jedzie do szpitala, Jonasz znów trafia pomiędzy dwa światy. Jeden to świat eksperymentalny. Dom, radiowóz i zamknięte na klucz

drzwi szpitala są częścią tego eksperymentu, do którego został przysłany skądś indziej. A gdzieś daleko znajduje się świat, który jest jego prawdziwym domem. Tam jego myśli przestaną łopotać i rozjaśni się to, co tutaj jest brudne i bolesne.

Dom. Gdzieś daleko, w miejscu, którego jeszcze nie zna, jest jego dom. Nie udało mu się sprostać Zadaniu. Nic nie poszło tak jak powinno. Ale może właśnie tak miało być. Może to była część eksperymentu. Może to jest czas, by wrócić do domu.

Kiedy radiowóz okrąży szpitalne podwórze, Jonasz czuje pewność. Teraz jest czas, by odejść.

Ręka Jonasza zaciska się w pięść, krew tętni mu w żyłach na szyi. Samochód się zatrzymuje. Dwaj policjanci biorą go pod boki i wyprowadzają. Jonasz wbija wzrok w ziemię. Białka oczu błyszczą mu czerwono. Na dworze, w najwłaściwszym miejscu, udaje mu się wyrwać, kopnąć policjantów między nogi, wbić obie ręce w szybę i ciągnąć, szarpać nadgarstki przez szybę tak, żeby krew trysnęła na twarze policjantów, na szlafrok i śnieg. Jonasz pociera nadgarstkami o rozbitą szybę, pomimo bólu, w jego oczach pojawia się radość. Teraz odchodzi do domu.

– Czy Jonasz przeżyje?

– Prawdopodobnie.

Pogładziłam mamę po ręce. Jej skóra wydała mi się cieńsza niż przedtem, żyły nabrzmiały jak u starej kobiety.

Mama skończyła szyć. Tata odstawił kubek na stół. Oboje patrzyli na mnie. Chciałam położyć się na plecach na podłodze i płakać na głos. Wrzeszczeć, że to była moja wina. Chciałam, żeby tata wziął mnie w ramiona, przytulił do piersi i trzymał w uścisku tak mocno, żebym nie spadła w głąb tego czarnego i zionącego, do którego czułam, że spadam. Chciałam także czegoś innego. Pragnienie było przerażające i brzydkie. Takie, jakiego nie wypowiada się na głos. Chciałam, żeby Jonasz już się nie zbudził. Żeby udało mu się zabić. Żeby tej nocy nasze połączone życie mogło się wreszcie zakończyć.

Ale kiedy patrzyłam na zgarbione sylwetki taty i mamy, kubki z herbatą przypominające sobotnie wieczory z dzieciństwa i twarze, których rysy odległe przypominały moje własne, wiedziałam, że jeszcze długo nic się nie skończy. Moim zadaniem było zapobiec zanikaniu taty i mamy. Musiałam coś zrobić, by nie zamienili się na moich oczach w staruszków, którzy zapomnieli o własnym życiu, albo w dwoje małych, bezbronnych dzieci. Coś, co przeniosłoby ich przez tamtą noc i nadchodzące tygodnie, miesiące i lata, tak długo, jak długo mieli żyć.

– Damy sobie radę – powiedziałam. Uścisnęłam im rękę. – Jonasz zostanie wyleczony. Jak wróci do domu, będzie się czuł lepiej niż przedtem. Wszystko może się zmienić na lepsze. Pomogę wam. Obiecuję.

Podniosłam się od stołu i zabrałam ze sobą tatę i mamę.

– Idźcie spać, żeby mieć rano siły.

Szli za mną do sypialni. Wydało mi się, że czuję zapach szpitalnych lekarstw i naftaliny, a pod stopami guzki ortopedycznych sandałów pielęgniarki.

Zdjęłam narzutę i wyjęłam piżamy spod poduszek. Tata miał staroświecką piżamę zakupioną przez babcię, mama prastarą bawełnianą koszulę nocną, która miała dziury pod pachami. Patrzyłam w okno, kiedy przebierali się do snu. Na dworze rósł ten sam klon, w którym w dzieciństwie ukrywałam się przed Jonaszem, za nim rozciągały się skały, z których wiele razy spadłam i rozbiłam sobie kolana. Wydało mi się dziwne, że naprawdę mieszkałam tu przez większość mojego życia. Że żyłam tak blisko nich.

Kiedy tata i mama byli gotowi, przykryłam ich kołdrą. Leżeli plecami do siebie, tata włożył w uszy żółte stopery, a mama poprosiła o wodę. Przyniosłam obojgu szklanki i wyłączyłam lampę.

– Śpijcie dobrze – powiedziałam i poklepałam ich przez kołdrę po ramionach. – Wszystko się na pewno ułoży.

Gdy zamknęłam drzwi, usłyszałam cichy głos taty:

– Dziękuję.

– Nie ma za co – odszepnęłam przez drzwi, wciągając buty.

– Zadzwonimy, jak się obudzimy.

Zbiegłam na dół po ciemku, powstrzymując oddech, jak gdyby w każdej chwili zza rogu mógł się ktoś pojawić



i położyć mi na ramieniu ciężką dłoń. Zaciskając w pięści klucze do mojego domu, wybiegłam z drzwi wejściowych prosto na ulicę, w zimne nocne powietrze i odbłask latarni rozbijających ciemność.

*Anno tato mammo i moze swiecie*

*Zrozumiałem coś. Nie wiem, czy wy możecie Zrozumieć. I czy to jakaś różnica. Ale i tak napiszę.*

*Należy próbować żyć. W głowie. I poza nią. Bóg mnie nie zabrał. Był po mojej stronie czy przeciwko? Nie wystarczy że wędruję na przekór czasowi. Należy próbować żyć.*

*Czy żyłem trudnym życiem? Czy mam prawo do nienawiści? Przeczytałem coś i Zrozumiałem: w Nienawiści nie chodzi o Sprawiedliwość. Jest nieistotna. Nie gramy w grę ani niczego nie wyrównamy. Należy próbować uspokoić głowę. Próbować żyć.*

*Psychoza to słowo. Ból nie. Jest tylko strach przed byciem, strach, którego nie można wytrzymać: jest się gotowym DO CZEGOKOLWIEK żeby się skończył. Osiem leków antypsychotycznych i szpital w którym powinno się „leczyć”. Ale świat bólu to grób. Na tę stronę nie ma po co przechodzić. Należy próbować żyć. Czy to jest możliwe?*

*Dlaczego żyć jeśli i tak się nie da? To jest istota kryzysu. Nadchodzi wiek średni. Starość. Śmierć. Moje*

*życie jest w środku tej głowy. Staram się utrzymać na mapie. W którymś miejscu wszystko ułoży się w większą całość. Może.*

*Nie mogę przewyciężyć bólu. Nie mogę obejść życia. Staram się myśleć o czasie jak o krajobrazie. Należy przejść. Gdy dojdzie się na brzeg to się skończy. Na brzegu błyszczy Światło. Moje życie jest podróżą ku Światłu Niebieskiemu.*

*kochający  
Jonasz*

Szorstka sutanna taty drapie mnie w policzek. Materiał pachnie papierosami i wodą do golenia, która wyszła z mody. Tata przytył i osłabł, ale jego ręce trzymają mnie w mocnym uścisku. Zaciskam oczy. Nie ma nic więcej oprócz jego ramion i miękkości torsu pod moimi skrońmi.

Jestem całkiem mała. Tak mała, że nie mam pojęcia, na kogo wyrosnę.

– ...że coś się jeszcze wydarzy.

To było jakoś po manifestacji. Niewiele pamiętam z tamtych dni, tylko ciężar krążący po żołądku i noce, kiedy czuwaliśmy z Ianem, spleceni palcem o palec. Ciszę pomiędzy nami i niepewne zdania, którymi próbowaliśmy dzielić to wszystko, co się wydarzyło podczas wieczoru i nocy.

Może było to któreś z niedzielnych popołudni, kiedy długo spacerowaliśmy w milczeniu i zatrzymaliśmy się na brzegu morza, by popatrzeć na topniejące kry. Może właśnie w takie popołudnie Ian usiadł na oszronionym kamieniu i zaczął mówić o wszystkim, co wzbudziła w nim śmierć ojca. Może w takiej właśnie chwili podniósł kołnierz kurtki i wypowiedział słowa, które teraz przywodzą mi na myśl zapach sutanny ojca.

– ...choć wszystko było takie oczywiste... Co stało się z jego światem... I że już mu się nie poprawi. Choć

próbowałem żyć i to zaakceptować, to jednak... W jakiś sposób byłem pewien, że... Że śmierć nie może... Że człowiek nie może tak po prostu bez niczego przestać istnieć. Życie może się potoczyć jakkolwiek. Śmierć nie. Chociaż świadomie tak nie myślałem. Ale gdzieś w środku miałem pewność, że coś się jeszcze wydarzy.

Może wtedy Ian uniósł dłonie do ust i podmuchał, żeby je ogrzać. A ja wsadziłam jego ręce w moje rękawice, Ian dotknął ran na moich nadgarstkach i, po raz kolejny, zapytał dlaczego. Może w tamtej chwili spojrzałam obok niego, na dzieci skrobiące łopatką w zamarznietym piasku, na łabędzie, które wróciły zbyt wcześnie, i odnalazłam pierwsze słowa.

– Dlatego że Jonasz został przy życiu. I żadne z jego marzeń się nie spełni. I to wszystko już zawsze będzie częścią mojego życia.

Może właśnie tamtego wieczoru głaskaliśmy się wzajemnie, aż po raz pierwszy od długiego czasu oboje zasnęliśmy głębokim, miękkim, słodkim jak śmierć snem.

– To była moja wina – szepczę jeszcze raz, z ustami przyklejonymi do szorstkiej sutanny taty.

– Ja też tak czuję – mówi. Wypowiada słowa po cichu, jakby zwracał się sam do siebie. – Codziennie. Że to wszystko moja wina. To, co się przytrafiło Jonaszowi. I tobie. Chociaż nie pragnąłem nic więcej niż... żeby wszystko się nam ułożyło.

Nigdy tak nie powiedział. Nigdy o tym nie

rozmawialiśmy. Jego słowa przelatują przeze mnie jak wiatr.

Otwieram oczy i widzę jego zęby. Krótkie siekacze połyskują między wargami. Gdy byłam mała i śniły mi się koszmary, wślizgiwałam się do łóżka między tatę i mamę i często budził mnie odgłos trzeszczenia. W półmroku sączącym się przez żaluzje widziałam profil śpiącego taty, blask kropli potu na czole i poruszające się wściekle szczęki.

– Henri przeżuwa wszystko, od czego uciekł – wyjaśniła mama, kiedy ją zapytałam, co tata gryzie po nocach. Wyobraziłam sobie, że jego buzia jest pełna maleńkich stworków, którym włoski ogonków wpadają pomiędzy zęby taty.

Teraz zęby połyskują mi nad głową. Tata patrzy na okruchy chleba na stoliku, na pustą do połowy szklanę, którą trzyma w dłoniach i cienkie bransoletki dźwięczące na nadgarstkach kelnerki. Mówi tak, jakby się modlił albo myślał na głos.

– Czy Jonaszowi inaczej by się ułożyło, gdybym był inny? Czy ukradłem życie własnym dzieciom? Nadal mnie to boli. Jak za coś takiego można w ogóle przeprosić?

Wyswobadzam się powoli, żeby nie przeszkodzić temu, co się w nim dzieje. Wpatruję się w książkę przez ten czas, kiedy opróżnia szklanę i zakłada kapelusz i kurtkę. Nie potrafię nic powiedzieć. Nie teraz.

*Chce powiedzieć coś, co ma związek z tymi, którzy już odeszli, co wiąże się z jej własnym poczuciem*

*bezgranicznego szczęścia i groźbą przygniatającej straty.*

[M. Cunningham, op. cit.]

Nie spuszczam oka z książki i milczę. Jeszcze nie jesteśmy gotowi do rozmowy. Może nigdy nie będziemy. Ale nawet jeśli ta chwila nigdy nie nadejdzie, teraz, w tej chwili, z książką otwartą pod dłonią i powiekami spuchniętymi od płaczu, wiem, że słowa istnieją. Są słowa, które pomogą nam przetrwać to, co się stało. I wybaczyć.

– Pójdę do szpitala – mówię. – Powiedz mamie, że dotrę tam, zanim się skończy pora wizyt.

– Dziękuję.

Poklepuje mnie po ramieniu i wychodzi. Spod kurtki wystaje czarna sutanna. Porusza się jak stary człowiek.

Kiedy wychodzę z kawiarni, zaczyna padać. W ulicznych kałużach prześwituje niebo. Zatrzymuję się przy kałuży na skraju przejścia dla pieszych i przypominam mi się, jak w dzieciństwie stawaliśmy z Jonaszem w kałuży, trzymając się za ręce, zamykaliśmy oczy i zanurzaliśmy się pod powierzchnię.

Po drugiej stronie kałuży rozpościerał się świat na opak, w którym chodziło się nogami po niebie i machało do ziemi majaczącej na dole. Tam spało się w dzień i czuwało w nocy, dorośli bawili się na dworze w berka, a dzieci wyglądały z okien i wydawały im polecenia. Na obiad jadło się ciasto z lodów, budyń czekoladowy i cukierki salmiakki, a na deser sos z rozgniecionymi ziemniakami. W sklepach kupowało się zabawki ile dusza zapragnie i ten, kto je kupował, dostawał pieniądze. Prezydenci prowadzili wojny, bijąc się ze sobą, i wszystkim rozdawano darmowe jedzenie. Najwięcej dostawały dzieci z Afryki, które wypoczywały pod palmami okrągłe i zadowolone, pijąc koktajle przygotowane przez białych służących.

Mam dziurę w podeszwie, zimna woda moczy mi skarpetkę i palce u nóg. Przejeżdżające samochody bryzgają błotem na spodnie, a ja patrzę na kobietę odbijającą się w kałuży, która mogłaby być kimś innym niż ja.



Kobieta jest moją siostrą bliźniaczką ze świata na opak. Ma takie same okulary, włosy oklapnięte na deszczu i przetartą na dole kurtkę dżinsową.

Trzyma na ramieniu torbę, w której jest dyktafon, powieść i laptop. Spędziła cały dzień w spokojnej kawiarni, patrzyła na spacerujące psy i siwowłose kobiety. Stukała szybkimi palcami w klawiaturę laptopa i pisała tekst do gazety. Gdy skończyła, odetchnęła z zadowoleniem, zamówiła ciasto i otworzyła powieść.

*Życie. Londyn. Ta chwila w czerwcu*. [M. Cunningham, op. cit.] Ta chwila w kwietniu. Ta chwila, pomyślała i pogładziła powierzchnię książki. Jakie to smutne, że ktoś się zabił, nie wiedząc, że bywają takie chwile.

Kobieta wybiera się do swojego brata. Myśl o ponownym spotkaniu budzi w niej radość. To cudowne, że istnieje człowiek, który ma prawie tyle samo lat co ona i który znał ją przez całe jej życie. To wspaniałe, że jest ktoś, z kim można przyglądać się wspomnieniom.

Moja siostra bliźniaczka spotyka swojego brata w białym szpitalu ze świata na opak, w którym drzwi są otwarte przez całą dobę, a na podwórzu rosną kwitnące krzewy. Szpital jest zwyczajnym miejscem, do którego przychodzi się w gości z uśmiechem na ustach i kwiatami w rękach. Pacjenci wychodzą stąd zdrowi, pełni energii, i żyją dalej tak jak wszyscy inni.

Moja siostra bliźniaczka unosi rękę równocześnie ze mną. Uśmiecha się. Jej twarz jest gładsza niż moja. Siostra jest szczęśliwa, że ja jestem tylko odbiciem w kałuży.

Wymyśloną siostrą bliźniaczką w wymyślonym świecie,  
gdzie jej noga nigdy nie postanie.

*Anno*

*Dziękuję.*

*Dziękuję ci, Siostrze, że przyszłaś wczoraj, żeby mnie zabrać ze szpitala.*

*Białem się ludzi. Postanowiłem, że nie będę się bać, ale jednak. Jak stanąć wśród Ludzi, jeśli od dłuższego czasu nie widziało się nikogo oprócz Stworzeń i Znaców?*

*Dziękuję, że przyszłaś. Dziękuję za lody. Były nieskończenie dobre. Tak jak pachniało morze. Nieskończenie dobrze.*

*Teraz jest noc i chowam twarz w dłonie tak jak zawsze w bezsenne noce. Czekam na ból. Skądś wdziera się myśl: a jeśli nie przyjdzie? A gdyby tak nie przyszedł tej nocy.*

*Twój brat Jonasz*